



Ryszard Dzieszynski

Ferdynand Kuraś — syn ziemi tarnobrzeskiej

Antykwarjat Stefana Kamińskiego w Krakowie cieszy się dużą sławą wśród miłośników książek. Przychodzą tu również naukowcy, literaci i dziennikarze, szukając na półkach interesujących pozycji. Rzadko też odchodzą z pustymi rękami. Stefan Kamiński jest szczególnym przyjacielem ludzi świata kultury. Już sama z nim rozmowa jest dużą satysfakcją. Kamiński umie opowiadać. Przyjaźnił się m. in. z Janem Wiktorem. znał wielu sławnych pisarzy, ale największe wrażenie wywarł na nim Ferdynand Kuraś. „Było to w 1926 roku — mówi Kamiński. — Miałem wtedy księgarnię przy ul. Podwale. W lokalu zawsze panował ruch, codziennie przychodziło mnóstwo klientów. Ale mimo to zauważyłem od razu ubranego skromnie, ale schludnie, niewysokiego pana o spokojnej, nieruchomej, skupionej i jakby uduchowionej twarzy, który cierpliwie czekał aż skończy rozmowę z innymi klientami. Stał tak może z pół godziny. Zdziwiło mnie, że nie reagował na rzucone przeze mnie kilkakrotnie: „już pana słucham, tylko jeszcze to, jeszcze tamto”. Wreszcie zapytałem: „czego sobie pan życzy?” Na to klient przyłożył dłoń do ucha i zapytał również: „proszę, proszę?”. Chciałem się roześmiać, ale momentalnie zorientowałem się, że mam do czynienia z głuchym. To jego dopytywanie się wywarło na mnie duże wrażenie. Widać było, że czyni ogromny, ale bezskuteczny wysiłek, aby usłyszeć, co do niego mówię.

Pomógł mi towarzyszący opiekun. Przez chwilę gestykutował z ożywieniem. Okazało się, że klient poszukuje książki Ferdynanda Kurasia „Przez ciernie żywota”. Odnarłem, że jest ona już dawno wyczerpana, że klienci często o nią pytają, że cieszy się dużym powodzeniem, zwłaszcza wśród robotników. Kiedy opiekun „przetłumaczył” klientowi moje słowa, na jego nieruchomej dotąd twarzy pojawił się uśmiech. „Ja właśnie jestem Ferdynand Kuraś” — powiedział.

Obiecałem mu, że jeszcze poszukam w magazynie, że może gdzieś tam blika się jakiś egzemplarz i prosiłem, aby przyszedł za kilka dni. Kuraś podziękował i podszedł do półki, aby oglądać książki. Jego opiekun rzekł do mnie: „kiedy był dzieckiem uderzyła go w głowę furtka. Od tego czasu nie słyszy”.

Zaraz po zamknięciu księgarni poszedłem do magazynu i rozpocząłem poszukiwania. Rzeczywiście znalazłem „Przez ciernie żywota”. Przeglądając książkę, nieustraszenie zagłębiłem się w lekturę.

Ani nie oglądałem się, jak zaczęło świtać. Nawet nie zwróciłem na to uwagi, tak byłem zaczytany.

Kiedy Kuraś zjawił się w parę dni później w księgarni, powiedziałem:

— Drogi panie! Znalazłem pańską książkę i przeczytałem ją. Ja panu znajduję gdzie indziej parę egzemplarzy, ale tej książki panu nie sprzedam. Natomiast bardzo proszę o dedykację.

Widziałem, że sprawiło mu to przyjemność. Od tego czasu zaczął u mnie często bywać. Z biegiem lat zaprzyjaźniliśmy się. Opowiedział mi wtedy historię swego życia, dodając wiele szczegółów, których nie zamieścił z różnych względów w swej autobiografii.

Kuraś był synem nauczyciela wiejskiego, który popadł w nałóg pijaństwa i wskutek tego nie mógł nigdzie zagrzać miejsca. Przestał uczyć w szkole i imał się różnych zawodów. W pogoni za chlebem rodzina Kurasiów przewędrowała całą okolicę w promieniu 100 mil od Sandomierza. Całą tę poniewierkę opisał potem Kuraś w swoich wspomnieniach. Zerowski w przedmowie do książki podkreślił szczególną wartość tych fragmentów: „najpiękniejsze są opisy podróży proletariackich, odbywanych najętym wozem, po bocznych drogach, do celów ni-jakich, do nadziei znalezienia miejsca pobytu, punktu oparcia, zaczepienia o jakąś pracę, dosięgnięcia kąta mieszkalnego”. Potem Kuraś osiadł w Wielosiu, gdzie trudnił się rzemiosłem szewskim, a jednocześnie pisał wiersze. Zaczął pisać mając lat 20. Zadebiutował w 1893 roku wierszem na cześć Lenartowicza, w rocznicę jego śmierci w piśmie „Krakus”. Wskazał ośmielił się wysłać swe utwory po długich namowach przyjaciół Sąsiedzi — poważni gospodarze, niezbyt cenili zamilowanego Kurasia do książek, jeden z nich wręcz oświadczył, że nie są warte nawet miski żuru. Mimo to, gdy ujrzał w gazecie jego nazwisko, byli dumni, że ich krajan nagle stał się sławny.

Sława przyniosła Kurasiowi jedynie zadowolenie moralne i przyjaźń z wybitnymi ludźmi ze świata kultury. Utwory Kurasia tak spodobały się Kasprowićowi, że napisał do nich przedmowę. Niestety, warunki materialne Kurasia nie uległy polepszeniu. Kuraś zbudował wprawdzie w 1897 roku chałupę w Wielosiu, ale była ona mała i szczerniała i bardziej przypominała kurnik niż dom mieszkalny. Składała się ona z kuchni i izdebki, gdzie poeta miał warsztat. Na warsztacie leżały sta-

Tańczy i śpiewa zespół Technikum Rolniczego



Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze” przejął ostatnio opiekę nad 100-osobowym zespołem pieśni i tańca Technikum Rolniczego w Tarnobrzegu. Członkowie „Mazowsza” Mieczysław Piwkowski i Jan Grabia przygotowali repertuar pieśni regionalnych dla zespołu tarnobrzeskiego, a Józefa Włoczkowska choreografię oberka opoczyńskiego i kujawiaka. Również kierownictwo „Mazowsza” przekazało młodzieży Technikum niektóre stroje ludowe. W lipcu zespół tarnobrzeski był serdecznie podejmowany w Karolinie przez kierownictwo i członków „Mazowsza”.

Z okazji 24-lecia Polski Ludowej zespół Technikum wystąpił w Warszawie z koncer-

tem dla pracowników Ministerstwa Rolnictwa i Związków Zawodowych Pracowników Rolnych, gdzie został owacyjnie przyjęty. Po koncercie odbyło się spotkanie z wiceministrem rolnictwa i dyrektorem Departamentu Nauki i Oświaty Rolniczej Ministerstwa Rolnictwa, w czasie którego wiceminister podkreślił zasługi młodzieży Technikum Rolniczego w podnoszeniu kultury wsi.

Zespół Pieśni i Tańca Technikum Rolniczego w Tarnobrzegu posiada coraz bogatszy program i cieszy się zasłużonym uznaniem miłośników pieśni i tańca. Wielkie korzyści daje zespołowi opieka „Mazowsza” i życzliwa pomoc dyrekcji Technikum Rolniczego w Tarnobrzegu. (g)



Ferdynand Kuraś

- syn ziemi tarnobrzesckiej

(Ciąg dalszy ze str. 1)

rannie ułożone książki, gazety i papier. Wspominał potem o niej Stanisław Pięta, który był u Kurasia z wizytą jako mały chłopiec. Kuraś nieraz odkładał robotę, zamyślał się i sięgał po pióro...

W Dzikowie w 1910 r. powstał Komitet celem polepszenia jego losu. W skład weszli obaj Tarnowscy, właściciele Dzikowa, nauczyciel Jan Słomka, syn słynnego pamiętnikarza Słomki oraz Zygmunt Kolasinski i Wojciech Wiącek — miejscowi publicyści i działacze społeczni. Chciano wystawić Kurasiowi porządną zagrodę. Niestety, akcja nie została doprowadzona przez Komitet do końca. Napływ składek ustał i Kuraś, aby dokończyć budowę, musiał się mocno zadłużyć.

Po I wojnie światowej Kuraś postanowił skorzystać z okazji, sprzedał dom w Dzikowie i wywędrował do Góleszyna w powiecie hrubieszowskim, gdzie nabył działkę osadniczą. Tam, będąc po raz pierwszy „na swoim”, pracował z zapalem, a jednocześnie dużo pisał. Niestety, śmierć ukochanej córki, którą z takim trudem wychował i wykształcił na nauczycielkę, załamała go. Porzucił Hrubieszowskie i przeniósł się do Karwina.

Karwin — wioska leżąca kilkanaście kilometrów na południe od Proszowic, wymieniona była już w kodeksach dyplomatycznych klasztoru tyńckiego, następnie u Długosza. Doskonala ziemia uprawna, przez stulecia należała do klasztoru, potem przeszła na rzecz Skarbu Państwa. W 1867 roku dostał ją częściowo w formie nadania od cesarza Franciszka Józefa gen. Bellegard. Jego sukcesorzy nie pewnie czuli się w niepodległej Polsce i woleli pozbyć się majątku, rozprzeczając go między włościan. Tam też Kuraś napisał drugą część pamiętników.

Niestety, „nie znalazł na nie wydawcy. Złożył je wprawdzie w wydawnictwie Józefa Zajęzka w Częstochowie, ale zmarł w 1929 r. nie doczekawszy jego wydania. Pamiętnik zaś zaginął w czasie wojny. Na szczęście ocalał odpis, który znajduje się w posiadaniu prof. Pigońca.

Podczas tych rozmów z Kurasiem — stwierdza Kamiński — obserwowałem go z zaciekawieniem. Był on dla mnie bądź co bądź fenomenem. Prawie zupełnie samouk, miłośnik książek, bardzo czytany i umięjący tworzyć piękne wiersze, a przecież w gruncie rzeczy prosty rzemieślnik, czy też później — rolnik. Uderzał mnie również kulturalny sposób bycia. Kuraś zachowywał się tak, jakby odebrał najstaranniejsze wychowanie, pod okiem rutynowanej bony, a jednocześnie był bardzo naturalny. O swoich przeżyciach opowiadał bardzo swobodnie, w sposób pogodny, nigdy

nie skarżył się, uważając „ciernie swego żywota” za rzecz najzwyczajniejszą na świecie. W sposobie jego zachowania było coś, co przypominało mi wie-deńskie walce: pogodne i smutne.

W 1929 roku Kuraś zachorował i niedługo wkrótce zmarł. Bardzo go żalowałem, cenilem go bowiem za niezwykłą skromność, prawość i serdeczność.

Kuraś wydał za życia oprócz „Przez ciernie żywota” 4 tomiki wierszy: „Spod chłopskiej strzechy”, „Wiązanka z chłopskiej niwy”, „Tatarzy w Sandomierzu” oraz „Dzwon chłopska pieśni”. Cieszyły się one dużą popularnością wśród chłopów. Kuraś wspomina w autobiografii spotkanie z Antonim Brzostowskim, włościaninem z Samborskiego, który wyciągnął „zza pazuchy” postrzępiony i zatłuszczony od częstego czytania tomik jego wierszy i oświadczył: „Pragnąłem was tak widzieć, jak przystąpić przed Wielkanocą do Stołu Pańskiego. Kiedy czytam wasze piosenki, tak mi ducha rozgrzewa, jakbym miał ogień w piersiach”.

Utwory Kurasia mają nierówną wartość. Ich treść stanowią przeważnie uczucia natury patriotycznej i religijnej. Feliks Gwiżdż oceniając jego twórczość, nazwał wiersze patriotyczne „mdymi”, za to z uznaniem podkreślał umiejętność odczucia natury, muzykalność formy oraz prostotę, z jaką Kuraś spowiadał się ze swych uczuć. Mniej natomiast znane są jego wiersze dotyczące tematyki społecznej. Niektóre tylko znalazły się w antologii utworów Kurasia, opracowanej przez Stanisława Pięta w 1954 roku. A przecież Kuraś był poetyckim bardem Republiki Tarnobrzesckiej! Podczas jednego z wieców odbyło się swiste spotkanie autorskie, jakiego nie miał chyba nigdy w historii naszej literatury żaden poeta. Jeden z uczestników wiecu czytał utwory Kurasia, a on sam przewyciężywszy nieśmiałość — powiedział do zebranych tłumów kilka słów. Akces po stronie Dąbala i Okonia wywołał niezadowolone osób uważających się za protektorów poety, a zwłaszcza dziedzica Dzikowa, hr. Zdzisława Tarnowskiego. Był to jeden z powodów, dla których Kuraś opuścił rodzinne strony.

W przyszłym roku mija 40 rocznica jego śmierci. Wydaje się, że ziemia tarnobrzescka powinna przypomnieć sobie o swym synu i uczcić jego pamięć. A któreś z wydawnictw winno zainteresować się spuścizną rekopisem Ferdynanda Kurasia i wydać drugą część pamiętników, które w Polsce przedwojennej nie mogły znaleźć wydawcy ze względu na treść akcentującą radykalne hasła społeczne.

Zbigniew Wawszczak

Opisanie

Chmury dzisiaj szczerze zasłaniają nieboskłon, żaden promień słoneczny nie potrafi przebić się przez tę zaporę. Szare jest więc i miasteczko, nabite jak owad na szpilkę drogi Jarosław — Tarnogród. Gdy stanie się na ulokowanym na środku rynku przystanku autobusowym, jak na dłoni zobaczy można zarzys najciekawszych budowli: ciężki, wsparty przyporami prostokąt 18-wiecznego ratusza, wyniosła bryłę kościoła, chylące się ku ruinie mury zabytkowej cerkwi, i jedyny nowoczesny akcent w miejskim pejzażu, pośród tych wiekowych gmachów — charakterystyczna przeszklona sylwetka szkoły-„Tysiąclatki”. Opustoszały pałac Czartoryskich kryją przed okiem ciekawskich wspaniałe drzewa rozległego parku.

Przed chwilą przyjechał do miasteczka przedstawiciel wydziału budownictwa i architektury z Jarosławia. Gospodarze wezwali go dla rozstrzygnięcia konfliktów, jakie wyłoniły się w związku z przebudową jednej z ulic. Wraz z parosobową grupą udajemy się na miejsce sporu. Uliczka, a do niedawna zwyczajna wiejska droga leży nieco na uboczu, trzeba skrócić koło starej apteki. Piętro wy okazały budynek z umieszczoną na froncie datą 1898 wznosił jeden z uczestników powstania 1863 roku Aleksander Mańkowski. W Sieniawie schroniło się wielu członków rozbitych oddziałów powstańców, kilkanaście kilometrów od miasteczka przebiegała dawna granica rosyjsko-austriacka.

Grzęźniemy w żółtym piachu, który zalega jezdnią. Grupa robotników zrzuca piasek z furmanki. Po obu stronach drogi — płoty, ukryte w sadach domki mieszkalne, zabudowania gospodarskie. Tutaj poznaję drugie oblicze Sieniawy, jej na polu wiejski charakter. Pytam, kto mieszka przy tej uliczce?

— O, ten siwy staruszek, Gąsiorowski jest rolnikiem. Jego sąsiad należy do wymarłej już generacji słynnych sieniawskich murarzy, a tu naprzeciwko, ten o gródek pełen kwiatów należy do emeryta, przedwojennego sierżanta.

Ludzie wychodzą na drogę. Pojawienie się komisji wzbudziło powszechne zainteresowanie. Toż są dyskusje, targi. Zali się dziadek Gąsiorowski: — przesunęli mi płot, co robić, droga musi być — ale jak przesunęli, o tak, byle jak, nawet słupów porządnie nie wstawili.

— No, a może by tak w czynie społecznym pomóc przy budowie drogi? Przecież i pan będzie miał z niej pożytek! — wracam nieśmiało.

Przecież tu nie ma żadnego czynu, oni (to znaczy Rada Miejska) sami budują drogę, za swoje pieniądze. — To doskonale, że budują — pomyślałem sobie. — Ale niedobrze, że nie potrafią w Sieniawie kojarzyć nakładów państwowych z robotą społeczną. Z pewnością można by wtedy położyć twardą nawierzchnię na znacznie większym, nie tylko 400-metrowym odcinku drogi. Przypomniałem sobie niedawne odwiedziny w Trójczycach, w Przemyskim i rolników pracujących z zapalem na drodze. Tam na wsi potrafiło trafić do ludzi, przekonano ich, że zmiany na lepsze zależne są od czynnego współudziału. Może to jest właśnie jeden z sekretów

dynamicznego rozwoju sąsiedzkiej Tarnogóry? Z zazdrością mówiono w Sieniawie o rozmachu rozmaitych gospodarskich poczynaniach w tym miasteczku lubelskim, mającym zresztą jedynie status gromady. A może by warto pojechać i podpatrzeć, w jaki to sposób, jakimi środkami dokonuje się ów godny pozazdrośczenia rozwój miasteczka zza miedzy?

Kiedy wysunąłem powyższą propozycję, przewodniczący MRN nie oponował. Ale też zgadzał się ze

Romułd Walon, zamordowany w roku 1945 przez reakcyjną bandę „Mewy” za „komunistyczne sympatie”...

Synowie państwa Boczańskich poszli w świat: jeden jest prawnikiem, drugi technikiem górnictwa. To jest zwykła droga utalentowanej młodzieży: w małych miasteczkach jej zainteresowania poparte wykształceniem nie znajdują zastosowania.

KLUB „RUCHU”
CZY LICEUM?

Niedawno gospodarze Sieniawy stanęli przed dylematem: albo wygospodarować dwie dodatkowe izby lekcyjne, albo też trzeba będzie pogodzić się z utratą powstałego przed paru laty liceum. W tym roku właśnie jego mury opuścili pierwsi maturzyści. Nielatwo jest o lokale w miasteczku, które w dodatku poważnie ucierpiało w czasie ostatniej wojny. Latem 1944 roku Sieniawa zajęta została przez strażę przednie nacierających wojsk radzieckich. Hitlerowcy próbowali powstrzymać dalszy pochód Armii Czerwonej, rzucając do akcji samoloty. W wyniku trzech nalotów, centrum Sieniawy obrócono w gruzy, było wiele ofiar spośród ludności. Szczęśliwym trafem w rynku ocalał jedynie stary ratusz, szczytający się lukowymi sklepieniami i potężnej grubości murami... Ów krótki wojenny epizod zaważył poważnie na późniejszych losach miasteczka, które z trudem dźwigało się z ruiny. W dodatku działalność band nacjonalistów ukraińskich spod znaku UPA w najbliższych okolicach, tuż po palonych wsi, wszystko to przez długi czas trzymało Sieniawę w kieszcach martwoty...

Nie dziwię się, że gospodarze miasteczka nie chcieli i nie mogli pogodzić się z utratą liceum. Szkoła średnia to również poważny czynnik miastotwórczy, to ogromne dobrodziejstwo dla młodzieży tutejszej i okolicznych wsi, to mówiące pompatycznie, drzwi otwierające drogę w świat...

Zdecydowano się więc na krok drastyczny, na zamknięcie bardzo przecież potrzebnego, zwłaszcza młodzieży klubu „Ruchu”, aby jego pomieszczenia przekazać dla potrzeb liceum. Szkoła średnia pozostanie więc w Sieniawie. Ale przecież na tym nie kończą się kłopoty, trzeba znaleźć przyzwoite mieszkania dla nauczycieli. Piękny gmach „Tysiąclatki” jest już za ciasny, konieczna więc będzie jego rozbudowa. Może udałoby się ją połączyć ze wzniesieniem Domu Nauczyciela? Takie rozwiązanie zabezpieczyłoby potrzeby mieszkaniowe nauczycielstwa w sposób trwały.

TROCHE HISTORII...

Kiedy hetman Mikołaj Sieniawski zabiegał u Jana Kazimierza o nadanie Sieniawie praw miejskich, bez wątpienia działał w swoim własnym interesie. Chciał, aby nowo kreowane na gruntach starej wsi Dybków miasteczko — przyczyniło się do rozwoju jego włości, aby powiększyło dochody. Zabiegi hetmana uwieńczone zostały powodzeniem: w roku 1674 Sieniawa stała się miastem. W jakiś czas potem Sieniawa przechodzi w ręce magnackiej rodziny książąt Czartoryskich, a od roku 1795, to znaczy od upadku Polski staje się ich główną siedzibą. Z nazwiskiem Czartoryskich łączy się okres największej świetności Sieniawy, który przypada na pierwsze ćwierćwiecze ubiegłego stulecia. Poróżnieni z caratem Czartoryscy przenoszą z Puław do galicyjskiej Sieniawy swą rezydencję. W pałacu toczy się wielkopańskie życie, dawane są koncerty, przedstawienia, bale, w tym czasie bawi tu wiele znakomitości, wiele ludzi znanych w ówczesnej Europie, bywają również koronowane głowy.

Ale jest to świetność nie tyle miasteczka, co pałacu, niemniej przecież i miasteczko musiało ciągnąć profit z ogólnej prosperity. Tak daleko jednakże pamięć żyjących nie sięga, we wspomnieniach odwoływano się do zapomnianych już lat przed pierwszą wojną światową, kiedy to Sieniawa była parutysięcznym, niezłe prosperującym ośrodkiem. Odbywały się tu duże targi konskie, zjeżdżali kupcy z dalekich okolic (w pobliżu apteki pokazywano mi resztki dawnego zajazdu), kwitła kontrabanda. Przez granicę masowo przemycano do Królestwa konie, był to proceder



Reprezentanci ginących zawodów.

mna bez większego entuzjazmu. Czyżby sądził, że podróże nie kształcą?

MEKKA MURARZY

— To nasi ostatni Mohikanie — powiada sekretarz MRN Zdzisław Szklanny, przedstawiając mi dwóch starszych mężczyzn, oparłych o drewniane sztachety — najstarszy murarz, Franciszek Nowak, a to rzeźnik i garbarz Józef Koperski. W takich właśnie okolicznościach, na ulepszenie ulicy poznaję przedstawicieli nie istniejącego już rzemiosła.

Dawniej Sieniawa stała murarzami — tłumaczy mi pan Nowak — było ich tu z trzystu. Chodzili daleko po świecie, budowali miasta, ja sam pracowałem na budowach w Lublinie, Lwowie, Piotrkowie Trybunalskim, w majątkach Czartoryskich... Ale dziś już nie ma murarzy w Sieniawie, jak trzeba coś budować, to się ich sprowadza z pobliskich wsi. Tak samo jak z rzeźnikami, garbarzami. — Dziś każdy tylko z teczką do roboty! — śmieje się stary murarz — dzieci idą do szkół, gdzie im tam w głowie mularski fach!

Jednak padło to słowo, oczekiwałem na nie. Tak mówią bohaterowie „Zemsty” (Cześnik: „Mur naprawia, mur graniczny, trzech mularzy”) i tak po dziś dzień określa się przedstawicieli tego pożytecznego zawodu na wsi, w małych miasteczkach. Jest to jakiś sympatyczny relikw, nawiązujący do staropolskich tradycji.

„SZEFUNCIO”

Poznałem już kilku mieszkańców ulicy Poniatowskiego, zaciekałem mnie jeszcze ów przedwojenny sierżant, jak przedstawili go mi rozmówcy, właściciel najładniejszego na tej ulicy ogródka kwiatowego. Gdy więc komisja próbowała rozstrzygać spory, wynikające z faktu, że tu i ówdzie trzeba rozszerzyć drogę kosztem ogrodu, a właściciele nie patrzyli na to ze zbytnim entuzjazmem, ja udałem się do jego domku. Gospodarz, niski, pochylony mężczyzna opowiedział mi pokrótce swoją historię. Prawie całą wojnę spędził w lesie, żona z synami, ścigana przez gestapo musiała parokrotnie zmieniać miejsce pobytu.

Najpierw był pan Zygmunt Boczański w oddziale słynnych „Jędrusiów” (w książce o „Jędrusiach” znajdzie pan wzmianki o „Szefunciu”, to był mój pseudonim), później w zgrupowaniach Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich... Niejeden raz śmierć zaglądała mu w oczy, ale szczęśliwym trafem ocalał. Po wojnie osiadł w rodzinnych stronach żony, która jak przystało na sieniawiankę, pochodziła z murarskiej rodziny. Murarzem również był jej brat,



Twarc miasta.

Fot. J. MENDYCHOWSKI

Sieniawy

podobno bardzo opłacalny, niejedna urosła z niego fortunka. Mieszczanie mieli swoje związki, zwłaszcza czynny był „Sokół”, kwitło życie towarzyskie.

PIĘKNE OCZY KSIEŻNEJ...

Pani profesorowa Suchecka bez entuzjazmu sięga do wspomnień. Nie dlatego, by nie były barwne i mile, ale od czasów ostatniej wojny pochowała tylu bliskich sobie ludzi... Pierwszy mąż pięknej kiedyś pani był wnukiem powstańca z 1863 roku, budowniczo-go domu, w którym rozmawiamy, i w którym nieprzerwanie od końca ubiegłego wieku mieści się apteka. Padł w walkach o Wał Pomorski w 1945 roku.

Później rozmowa schodzi na Czartoryskich, jak żeby było inaczej. Staruszek wspomina z ożywieniem żonę ostatniego z panów Sieniawy.

Nasz książe ożeniony był z Hiszpanką, która pochodziła z królewskiej rodziny Burbonów. Była czarna jak smoła, nosiła długie, wspaniałe włosy i miała cudowne, zielone oczy... Takich oczu nie udało mi się więcej zobaczyć. Rozmawiali z księciem po francusku, książe chciał jednak, aby nauczyła się po polsku. Skoro

— A gdzie jest ten słynny kamień szczęścia? — pytam bawiącej się skakanką dziewczynki.

— O, tam, daleko w parku. Zaraz panu pokażę. Mała ma imię Krystyna, chodzi do czwartej klasy. Przechodzimy nieopodal podłużnej bryły pałacu: zamiast okien — czerwone cegły lub deski. Pałac jest pusty. Dziewczynka skręca na boczną ścieżkę i oto jest właśnie ów kamień, podłużny cios, coś w rodzaju kamiennej lawy. I zagadkowy napis: „Na pamiątkę dni szczęśliwych w Sieniawie”. Nie wiadomo na pewno, kto jest autorem tych słów. Według doświadczonego mniemania, napis ów dotyczy ma Tadeusza Kościuszki, który dwukrotnie był tutaj i podobno przeżywał „szczęśliwe chwile”. Współautorka tych chwil miała być — jak chce plotka — córka Izabeli Czartoryskiej, niefortunnie wydana za mąż Marii Wirtemberskiej. Jej dziełem jest pierwsza polska powieść sentymentalna „Malwina, czyli do-myślność serca”.

Krysia prowadzi mnie do domu ogrodnika, pana Dąbrowskiego. Gospodarz, dziś już na emeryturze, reprezentuje typ starego polonusa: godna postawa, sumiaste wazy, marsowa mina, brak tylko karabeli przy boku! Pan

Będzie więc miał dyr. Duda-Dziwiarz z Łańcuta nie lada problem do rozgryzienia. Może przyjdą mu z pomocą współczesne grzybobójcze środki chemiczne?

NIE SPELNIONA SZANSA

Pytałem o ciekawych ludzi. Gospodarze byli odrobinę zakłopotani. Chyba takich nie ma! A później był i stary murarz i partyzant i eksogrodnik. Padło również nazwisko malarza emerytowanego katechety Buniowskiego. Ksiądz maluje, wierny konwencji czasów swojej młodości. Oglądałem utrzymane w impresjonistycznej manierze pejzaże, a kiedy zobaczyłem w ciasnej izdebce jeszcze niewielką rzeźbę w drzewie, nie wytrzymałem: Ksiądz się rozminął z powołaniem!

Staruszek nie zaprzeczył. Istotnie, sztuka pasjonowała go ogromnie, uczył się nawet malarstwa w Wiedniu, ale cóż było robić! Ojca nie stać było na pokrycie studiów, które przecież nie rokowały materialnego powodzenia. Buniowski musiał więc przywdziać duchowną sukienkę.

POST SCRIPTUM

Rzeczywiście, Sieniawa nie wygrała losu na loterii. Wielokrotnie narzekano, jak to zwykle w małych miasteczkach na to, że brak tu przemysłu, że nie się nie dzieje. Ekspedientka w sklepie skwitowała to następującymi słowami: to jest miasteczko tylko z pozorami. Ale kiedy przyjrzałem się bliżej sprawom i ludziom, to okazało się, że wprawdzie nie ma tu wielkich zakładów, ale jest kilka drobnych w rodzaju wytwórni elementów budowlanych z betonu, cegielni, bazy transportu rolniczego. W sumie doliczono się, że spośród tysiąca trzystu mieszkańców (tytu zamieszkuje w Sieniawie) blisko pięćset osób pracuje poza rolnictwem. Ktoś z moich rozmówców skwitował to pokrótce: — Wie pan, ludziom nie powodzi się najgorzej. Każdy ma kawałek ziemi, kto jest zdrowy może iść do pracy! Jak tylko chce — zawsze znajdzie robotę!

Można więc zarzykować, że tak jak w piosence: trochę dobrze, trochę źle. Na pewno zasługują to miasteczko, zagubione wśród lasów na pograniczu z Lubelszczyzną na większe zainteresowanie władz, na pewno ma trudne problemy, w których rozwiązaniu należy pomóc. Tym bardziej że jest ono w jakimś sensie wizytówką naszego województwa! Dalszy rozwój Sieniawy zależeć będzie przede wszystkim od postawy miejscowych władz, od ich energii i inicjatywy, od umiejętności uruchomienia ogromnych rezerw inicjatywy społecznej. Może warto skorzystać z doświadczeń sąsiedzkiego Tarnobrodu.

Dąbrowski, Mazur spod Przasnysza, całkowicie już wrośnięty w galicyjską ziemię, wprowadza mnie na trop innej sieniawskiej historii. W pierwszych dniach wojny szofer księcia Augustyna przywoził, zdaje się z Krakowa, jakieś tajemnicze paki. Współ z nim ukryli je w piwnicach pod oficyną. Niestety, tajemnica nie została dotrzymana. Książe miał młynarza, Niemca, nazwiskiem Sauer. Kiedy 13 września weszły do Sieniawy oddziały niemieckie, Sauer wskazał im kryjówkę. Hitlerowcy wtargnęli do piwnicy i zrabowali co cenniejsze rzeczy.

— Kiedy przyszedłem rano — opowiada pan Dąbrowski — zobaczyłem porozbijane paki, walające się zabytkowe przedmioty, stare monety, część szabli, która należała do króla Sobieskiego.

— Podobno Muzeum w Łańcutcie przejęło pałac sieniawski i ma go restaurować — pytam pana Dąbrowskiego.

— Ja też o tym słyszałem — replikuje starszy pan — ale z tym remontem to niełatwa sprawa, ja pracowałem u Czartoryskich i wiem wszystko, co i jak. Pałac sieniawski nie był zamieszkały od 1918 roku, tam jest grzyb. Całą ścianę północną można zeszkrobać, tak cegła przeżarta. Książe już przed wojną sprowadził architektów, obejrzeni to i powiedzieli, że nie można poradzić. I tak już zostało. Książe to nawet chciał rozebrać pałac, ale towarzystwo opieki nad zabytkami mu nie pozwoliło...



Ślady kupieckich świetności.

Fot. Z. WAWSZCZAK

nasz chleb je — niech się nauczy naszego języka — mawiał.

Jakie były wyniki tej nauki — pani Suchecka nie potrafiła mi powiedzieć. Ostatni z panów Sieniawy, który — jak podkreślało to w wielu rozmowach — był człowiekiem przystępnym i skromnym (chodził w zwykłej płótniance, jak „prawdziwy socjalista”) — zabawne było to określenie potomka, jednego z największych magnackich rodów w ustach jednego ze staruszków, zwiast za granicę, jego żona o ślicznych oczach i jeden z dwu synów mieszka w Hiszpanii.

Pani profesorowa wraca do pa-sjansa, którego układanie prze-rwałem swoim nieoczekiwanym wejściem. Obok drugie karty kładzie z filuterną miną studentka.

— A widzisz, Ciociu, przecież nie jestem taka tępa, coś się od ciebie nauczyłam!

„NA PAMIĄTKĘ DNI SZCZĘŚLIWYCH...”

— Park mamy ogromny, chyba z trzydzieści hektarów — mówi-no mi w Prezydium MRN — tylko trochę zaniedbany... Istotnie, park jest rozległy, rosną tu dziesiątki wspaniałych drzew. Niedaleko wejścia drewniane podium, ach to tutaj odbywają się te wspaniałe „ubawy”, o których opowiadała mi pracowniczka miejskiej rady, panna Łońska. Gwara młodzieżowa jest dosyć jednolita, i w dużym mieście i w małej Sieniawie, zabawa określana jest mianem „ubawy”!

Książka o stosunku do hitleryzmu

Na zachodniemieckim rynku wydawniczym ukazała się ostatnio książka opatrzona tytułem „Czy byłem hitlerowcem?” (wydawnictwo „Ruetten und Loening” w Monachium). Na jej łamach zabiera głos dziwił się znanych pisarzy NRF: Joachim Gunther, Hans Egon Holthusen, Hans Hellmut Kirst, Rudolf Kraemer-Badoni, Aleksander Lernet-Holenia, Jens Rehn, Heinz Winfried Sabais, Hermann Stahl, Wolfgang Weyrauch. Przedstawiając swoje stanowisko wobec ruchu nazistowskiego, wszyscy, jak jeden mąż, starają się zaprezentować jako ludzi dalekich od hitleryzmu, toteż pytanie zawarte w tytule ma charakter wyłącznie retoryczny.

(Kt-PAP)

Nasze rozmowy

KSZTAŁCENIE I WYCHOWANIE...

Naszym rozmówcą jest dr EUGENIA ŁOCH — adiunkt Wydziału Filologicznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie.

— Praca dydaktyczno-wychowawcza, zwłaszcza w wyższej uczelni, posiada specyficzny charakter i własne tradycje. Czy zechciałaby Pani podzielić się z Czytelnikami spostrzeżeniami w tym zakresie?

Zbyt krótko pracuję w wyższej uczelni, by mieć bogate doświadczenia w dziedzinie pracy pedagogicznej. Niemniej jednak dwuletni okres kontaktów z młodzieżą akademicką prowokuje już do wyciągnięcia pewnych wniosków. Studenci pozornie dojrzały wymagają jeszcze dużo opieki ze strony wykładów i opiekunów tak w uczelni, jak i poza nią. Myślę tu o pracy ideowo-wychowawczej i wszechstronnej kontroli wyników nauczania, jak również o przyzwyczajaniu do systematycznej nauki, do obowiązkowości, właściwie pojętej solidarności czy wzajemnej życzliwości — niezbędnych w pracy przyszłych nauczycieli, których przecież kształci nasza uczelnia o charakterze pedagogicznym. Właśnie na nas, pracowników naukowo-dydaktycznych ciąży obowiązek wykształcenia i wychowania takiego nauczyciela, który by stanowił wzór człowieka i pracownika nauki. Aby to osiągnąć wydaje mi się, że większy nacisk należy położyć na częste i bezpośrednie kontakty ze środowiskiem studenckim, które w dużym stopniu winny pomóc w wykrywaniu trudności, wyłaniających się w trakcie studiów.

Jestem bardzo zadowolona, że mogę uczestniczyć w procesie kształcenia i wychowywania młodzieży pochodzącej w przeważającej części z Rzeszowszczyzny, z którą z racji pochodzenia i stażu pracy nauczycielskiej czuję się integralnie związana. Z rozwojem gospodarczym i kulturalnym, wreszcie nauko-

wym regionu wiąże też nadzieje szybkiej likwidacji trudności natury obiektywnej, jakie napotykam w pracy dydaktycznej w uczelni, współpracującej dopiero własne tradycje. Szczególnie chodzi mi o zaplecze biblioteczne, które wciąż jeszcze nie zadowala wymagań, głównie w zakresie nauk humanistycznych.

— Może kilka słów na temat wyników dotychczasowej pracy naukowej?

— Dotychczas zajmowałam się pozytywizmem galicyjskim, a w ramach tej tematyki twórczością nowelistyczną Sewera-Maciejowskiego, co zresztą stanowiło przedmiot rozważań zaprezentowanych w dysertacji doktorskiej. Interesowałam się również małymi formami w twórczości literackiej Wilhelma Macha i Stanisława Piętaka — w ramach zespołowych prac Zakładu Literatury Polskiej WSP pod kierownictwem dr Stanisława Fryciego. Rozprawy te drukuję stopniowo w czasopiśmie regionalnym. Aktualnie przygotowuję publikację książkową o Sewerze.

— A plany na przyszłość?

Kontynuacja prac badawczych związanych z przeszłością i teraźniejszością literacką Rzeszowszczyzny. Ale nie tylko to. Również realizacja badań naukowych z zakresu pogranicza historii i teorii literatury przełomu XIX i I połowy XX wieku. Bliższe moim zainteresowaniom są późniejsze okresy historyczno-literackie i w ramach ich rozwoju zjawiska dotyczące związków naszej literatury z angielską, a więc badania komparatystyczne, zyskujące znowu swoją aktualność. Natomiast w zakresie gatunków literackich dalsza realizacja badań nad rozwojem i przyczynami percepcji małych form u współczesnego czytelnika.

Rozmawiał:

STANISŁAW DZIEDZIC



SPOTKANIE

Fot. J. MENDYCHOWSKA

BARTNICZY RÓD SUDOŁÓW

W pobliżu Raniżowa, w przysiółku Sudół, mieszka jedyny już chyba na Rzeszowszczyźnie bartniczy ród również o nazwisku Sudół.

Chata blisko 80-letniego dziś Józefa Sudoła jest stara, podobnie jak jego syna Pawła, odległa gdzieś o dwa kilometry, stawiana jeszcze w 1829 roku.

Domy Józefa i Pawła ukryły się wśród wysokich, rozłożystych sosen, jodeł i świerków. W obrębie ich skromnych zagród — rosną lipy liczące ok. 350 lat, i smukły 600-letni cis, leżą lub stoją ponadto sędziwe barcie.

Te drzewa to pozostałość Puszczy Sandomierskiej. Puszcza Sandomierska zajmowała olbrzymie obszary położone w widłach Wisły i Sanu. Spośród licznych zajęć, jakim oddawali się mieszkańcy tych ziem, zwani Lasowiakami, szczególnie zaszczytne było zajmowanie się bartnictwem. W ogóle bartnictwo przyczyniło się w pokaźnej mierze do zasiedlenia puszczańskich ostępów. Sciągnęło ono pierwszy napływ osadników wzdłuż urodzajnych aluwów Wisły i Sanu. Np. chłopci z Gorzyc, Wielowisi szli w puszcze i tu mieli swoje borki oraz barcie. M. in. koło Raniżowa, które Długosz nazywał bardzo bogatym i wydajnym. Z czasem zaczęły powstawać pierwsze osady jak Sudół, a nawet całe wsie bartnicze. Typową był Przedbórz.

Proces ten zapoczątkował Kazimierz Wielki. W tych czasach nie znano cukru ani jego wyrobów, miód stanowił więc bardzo pożądaną artykuł żywnościowy i leczniczy. Oczywiście puszcze stanowiły własność królów, były zatem w przeważającej części stopniowo królewskimi. Bartnicy królewscy mieli obowiązek dostarczać miód i wosk na dwór królewski. Takie królewskie barcie były odpowiednio zagospodarowane i prowadzone przeważnie z ojca na syna. Wosk i miód splawiane były Sanem i Wisłą do Warszawy, Torunia, Gdańska.

Godny uwagi jest fakt, że Władysław Jagiełło przed walną rozprawą z Niemcami zarządził w Puszczy Sandomierskiej polowania celem przygotowania zapasów mięsa i zgromadzenia dużej ilości miodu dla walczącego rycerstwa pod Grunwaldem.

Za Kazimierza Wielkiego, przybyli w Kolbuszowskie nie opodal Raniżowa także przodkowie Józefa Sudoła, wiernie kroczącego śladami swych ojców.

Jakbym ja pscół ni miodł to jo ni mom życia — stwierdza rzeński staruszek, piękną gwara.

Pasją życia Józefa Sudoła jestotnie są pszczoły. Trzyma je zarówno w tradycyjnych pasiekach, jak i w nowszych ulach. Cóż, nowe wkroczyło i do niedostępnych jeszcze niedawno leśnych uroczysk, choć stary Sudół woli dawne sposoby „pielęgnowania skrzydlatych pościech”. Do pszczoł podchodzi bez siatki na twarzy, bez ochronnych rękawic, urodzaj na miód wroży ponadto na podstawie planet: Jowisza, Merkurego, Saturna, Wenus.

W tym roku — cieszy się leśny bartnik — będzie dużo miodu. Lecz jeszcze parę ciekawostek i osobliwości o barciach w Sudołach.

Otóż dawne barcie drążone były w drzewach sosnowych, świerkowych i w jodłach — jako że pszczoła nie lubi wilgoci — na wysokości mniej więcej 6 metrów, z uwagi na smakoszy miodku — niedźwiedzie, grasujące po puszczy i zakradające

Zdzisław Kozioł

W POSZUKIWANIU

W wąskiej dolinie Gluchego i Czarnego zmrok szybko przechodzi w ciemną noc, a wraz z nią zamiera życie we wsi nie mającej światła elektrycznego. Lecz nie każdemu noc przynosi upragniony wypoczynek, gdyż trzeba pilnować dobytku, chociażby przed leśną zwierzyną, której jest sporo w ostępach Otrytu. Pewien rolnik z Polany zbudował szalas, w którym wraz z żoną spędzał noce, pilnując ziemniaków przed dzikami. Pilnowali wytrwale aż któregoś nocy zaniepokoiły ich dziwne odgłosy, jakby postępowanie lub mruzenie...

— Chyba dziki — mówi zatrwożona małżonka, zapalając słomianą kiczkę.

— Nie, to nie dziki, pewno jakiś człowiek nas straszy, patrz, idzie ku nam.

Rzeczywiście, w ciemnościach rysowała się sylwetka jakiejś postaci, której głoś-

nych rozmów rodaków, opowiada się o nich turystom, że krążą w okolicy, że są żarłoczne...

— Przyjechał do nas taki stary przyk, rozbił nad Sanem namiot i paradował z blondynką, która miała być jego córką. Akurat, jego córka... To ja, panie, tyle czasu żyję bez baby furmanią w tych lasach, a on będzie mnie drażnił swoją cizją. Po-czekaj, ja ci pokażę. Poszedłem do nich wieczorem, naopowiadałem o rysiach, wilkach i niedźwiedziach. Kociakowi ze strachu zrobiły się wielkie oczy, a ten stary lowelas mówi, że bym nie chrząnił głodnych kawałów. No to poszedłem, ale nocą wróciłem i jak nie zaczęły ryczeć, szarpać namiot, a potem w nogi. O świcie już ich nie było...

— Nie straszcie nam turystów, replikuje któryś ze

siakami. Wczoraj wilk napadł na prosięta, ale maciora go przegnała. Twarda sztuka, co?

Juhasowi i jego bacy Bieszczady się podobają, ale wolą swoje Tatry, gdzie mają gospodarstwa dostatnio prosperujące za zarabiane w Rzeszowskim dukci, choć podobno pogarszają się warunki wypasu owiec, których pogłowię znacznie spadło. Ostatnio kilku baców, którzy się w Bieszczadach osiedlili, wróciło na rodzinne Podhale. Ucierpi na tym rodzima hodowla owiec, wyżniejszy czynnik aktywizacji gospodarczej niż sezonowy wypas. Nie bez znaczenia jest i to, że górale, w przeciwieństwie do osadników z nizin, najszybciej się tu aklimatyzują, a Bieszczady są wciąż słabo zaludnione.

Kim są mieszkańcy tego regionu? Z badań przepro-

ceniam tych robotników według pracy i zachowania.

Przekonywał mnie, że w jego nadleśnictwie panuje spokój, owszem piją, nawet „likier na kościach”, czyli denaturat, zdarzają się też bójki, ale nie tak często jak dawniej. O pchnięciu nożem, incydencie z poprzedniego dnia, nie wspominał...

Nadleśniczy, młody, sympatyczny inżynier i jego uro-

czyła żona marzą o elektryczności.

— Ale to będzie frajda, gdy uruchomimy telewizor; dopiero wówczas pomyślimy o prawdziwej świetlicy dla robotników, może ludzie po pracy przestaną się nudzić i z nudów grać w karty i pić wódkę.

Drogi i elektryczność to dwie podstawowe przesłanki zagospodarowania gór, a także wstępny warunek upowszechnienia oświaty i kultury. Ale to tylko warunek wstępny. Polana np. jest już połączona „ze światem” doskonałą drogą, jesienią zaś otrzyma elektryczność, lecz czy nastąpią szybkie przemiany, czy znikną walące się rudery, brudne obejścia gospodarcze. Pod wieloma względami jest to wieś typowa dla Bieszczadów; żyje ona między przeszłością a przyszłością. O przeszłości niechętnie się tu mówi, no bo wiadomo, wojna, UPA, wieloletni brak stabilizacji. Chętnie dyskutują o przyszłości, choć dla większości rysuje się ona dość mgliście.

Polana leży na dawnym pograniczu bojkowski-lemkowskim, lecz w tej wsi mającej przed wojną 280 numerów i 7 karczem (!) przeważała ludność polska. Po większości zagród pozostały jedynie smutne ślady fundamentów i zdziczałe, z reguły nieowocujące sady. Ludność polska uciekła, banderowcy postawili jej ultimatum, zaczynające się od hasła: „Ukraina po San, Lachy za San”. Kto nie posłucha, będzie żałował... Banderowców poskromili partyzanci, tu działał też legendarny oddział „Muchy” Kunickiego. Partyzanci poprosili popa, by swoim wypersadował agresywne zamiary, a że przedstawiali oni niemającą siłę, więc poskutkowało...

— Ale cośmy przeżyli, tośmy przeżyli. Teraz moi chłopcy tak się zaczytują książkami o wojnie w Bieszczadach... Ja nie muszę czytać, ja to wszystko przeżyłem, a swoją drogą, w tych książkach prawdę piszą. Byłem wtedy wyrostkiem, lecz mieszka u nas taki, co to sam walczył, on by mógł więcej powiedzieć. Ale czy warto o tym mówić? Lepiej niech mi pan powie, czy oplać się brać pożyczkę? U-morzą ją kiedyś? Nie chciałbym zostawić dzieciom długów.

Kombatanta, o którym mój rozmówca wspominał, nie spotkałem, slyszalem tylko, że miał kłopoty z nabyciem ziemi, bo krzyże i ordery nie dają kwalifikacji rolniczych. Po wielu zachodach ziemię wreszcie otrzymał, a pożyczki nie przejął, ani nie przepił, jak wielu innych, którzy orderów nie mają i jakoś nie sprawdzano rygorystycznie ich rolniczych talentów, nawet nie zwracano uwagi na ich przeszłość, nie zawsze bez skazy...

W niespełna dwa tygodnie, które spędziłem w górach, slyszalem dziesiątki skarg na tryb sprzedawania działek i



Fot. J. MENDYCHOWSKI

ne pomruki stawały się coraz wyraźniejsze. Na wszelki wypadek krzyknęli, machali ogniem, bębniłi w wiadro... Ocieżale poruszająca się postać skręciła w bok i zniknęła w ciemnościach. Rankiem opowiadają sąsiadom o tej przygodzie i wspólnie dokonują wizji lokalnej; na wilgotnej ziemi widzą głębokie ślady niedźwiedziich łap. Była to dla wsi niemała sensacja, bo nawet tu, w samym sereu Bieszczadów, tak blisko kontakt z niedźwiedziem nie należy do częstych wypadków. Długo o tym we wsi opowiadano, dworując sobie z bohaterów przygody, którzy postanowili już nie pilnować ziemniaków. Na szczęście skończyło się tylko kilkudniową niedyspozycją nadwreżonych strun głosowych.

Pocziwe bieszczadzkie miśie pozostawiają jednak ludzi w spokoju, wprawdzie jeszcze z ręki nie jedzą, co najwyżej porwijają od czasu do czasu krowę lub jalewkę, palaszując za jednym posiedzeniem trzy czwarte dorosłej szuki. Prawdziwym ich przysmakiem, jak wiadomo, jest miód; poszedł więc raz rudzielec do pasieki, zabrał ul, z którym poczłapał na tylnych łapach do lasu. Gospodarz, jego sąsiadzi wraz z całą sforą psów udali się w pogoń, krzyżąc i hałasując co niemiara. Miś zachował jście królewski spokój; gdy natręci zbyt blisko się zbliżyli, postawił ul, odwrócił się do napastników, doniosło zamruczał, machnął łapą, co ludziom i psom wystarczyło, by zachować przyzwoitą odległość. Jeszcze raz czy dwa powtórzył tę demonstrację siły, po czym wraz ze zdobyczą skrył się w leśnych gaszczach.

Niedźwiedzie są w Bieszczadach ulubionym tematem

słuchaczy, ale od siebie też coś niecoś o niedźwiedziach dodaje.

— Słyszałem — mówi — od znajomego leśniczego, że pojawił się kulawy niedźwiedź, ale kto mu gnął przetracił? Inny zwierz chyba nie, bo niedźwiedziowi żaden nie sprostą...

Swoją renomę mają też i wilki. Do Wydziału Rolnictwa i Leśnictwa w Ustrzykach zgłosił się amator polowania; miał dubeltówkę, zawadiacki kapelusik i legitymację ministerstwa.

— Chciałem sobie wilka ustrzelić.

— Bardzo mi przykro — odpowiada pracownik Wydziału — ale aktualnie nie mamy ani jednego przywiązanego do drzewa.

Górale natomiast żartów z wilków nie stroją, za często im bowiem porwijają owce, a raczej uprowadzają, bo tak drań chwytła owieczkę za gardło, podusi i puścił, ona zaś jak zahipnotyzowana idzie za nim. Juhas mówi o tym ze złością i zarazem z odcieniem podziwu dla sprytu wilków. Często nas żętyca i chociaż senny, barwnie opowiada o owcach, pastwiskach, zwierzynie leśnej.

— Słyszałem — mówię — że osadnicy z nizin sporo stracili na próbie hodowli owiec.

— A co, mieli nie stracić, koło owiec trzeba umieć chodzić, trzeba mieć do tego zamiłowanie. W naszym kierdelu jest 1000 sztuk, w tym 800 dójek, we trzech je trzy razy dziennie doimy, że aż ręce boją. Ci we wsi nie wiedzą, że jak owcy się nie wydoi, to się jej mleko zapieczę. Wstajemy o trzeciej, idziemy spać o jedenastej w nocy. Mamy jeszcze dwie pary koni, dwadzieścia sztuk bydła i dwie maciory z pro-

ELDORADO

udzielania pożyczek czy przyznawania ulg. I bynajmniej nie szukałem niezadowolonych, to oni potraktowali urlopowicza niczym skrzynkę zażaleń. Były i skargi bezpodstawne, choć przekazane w nader przekonującej formie, lecz generalnie rzecz biorąc, nie ma przecież dymu bez ognia. Nawet notowany w innych regionach kombinator, któremu władze kom-

z bliska

binować już nie pozwalają, podał kilka nazwisk ludzi, którym się to nadal udaje. Często np. mówi się w Bieszczadach o łapownictwie, ale ten zarzut jest szczególnie trudny do udowodnienia... Łatwo natomiast sprawdzić, czy rzeczywiście kupowane są za bezcen grunty, które z uwagi na planowane budownictwo państwo kiedyś odkupi. Ten precedens jest podobno ważnym hamulcem akcji osadniczej, a na pewno rodzi złą atmosferę, tym bardziej, że jest wiele przykładów nielegalnego uprawiania ziemi, na którą reflektują rolnicy nie zajmujący stanowisk w urzędach.

Dla społeczności bieszczadzkiej nie zadowolenie jest rysem charakterystycznym. Osadnicy, którzy pierwsi tu przybyli, są niezadowoleni, gdyż nie mieli takich przywilejów, jak obecnie nabywający gospodarstwo. Uważają się więc za pokrzywdzonych. Właściciele gospodarstw podupadłych lub wręcz zrujnowanych oczekują umorzenia kredytów i dalszej pomocy finansowej.

— A ja, że pracuję, to mam spłacać długi; w powiecie mówią mi, że mam z czego. Ale gdybym nie pieniądze, zamiast teraz oddawać, zainwestował w gospodarstwo, to państwo otrzymałoby jeszcze więcej bydła rzeźnego. Ja, proszę pana, nie jestem biedny, ale państwo powinno pomagać właśnie tym, którzy pracą już coś zdobyli. Wstajemy o trzeciej, w Bieszczadach trzeba ciężko pracować i myśleć. Nie udało się owce, diabli wzięli fermy królicze i kurze, lecz oplacalny jest wypas bydła. Żeby tak jeszcze licznie przyjeżdżali turyści, mielibyśmy komu sprzedawać nabiał, można by dla nich uprawiać warzywa, pomyśleć o sadach, a i z wynajmu izb też by trochę grosza wpłynęło.

Wspomniałem uprzednio, że dla mieszkańców Polany, wsi pod wieloma względami typowej dla Bieszczadów, przyszłość rysuje się dość mgliście. Tylko kilku właścicieli dobrze prosperujących gospodarstw wie, co można tu osiągnąć i swoje plany urzeczywistniają ciężką pracą. Mglistość rysująca się przyszłość to turystyka, mająca być Eldoradem.

Przez Polanę przebiega mała obwodnica bieszczadzka, w pobliżu znajduje się zalew soliński, wokół lesiste wzgórza Otrytu i połoniny, wymarzone tereny do wędrówek, a po odpowiednim zagospodarowaniu można uprawiać sporty zimowe.

Wymieniając zalety Polany, nie można nie wspomnieć o urzekających potokach, ale zasadniczym atutem tej wsi, zewsząd otoczonej górami, jest jej mikroklimat. Zimą można się tu opalać. Słowem, wieś z przyszłością. Turyści, znudzeni terenami przy wielkiej obwodnicy, tłumnie wyruszą na małą

obwodnicę, gdy tylko będzie zakończona jej budowa.

— Już teraz odczuwamy pozytywne następstwa turystyki, przede wszystkim mamy komu sprzedać nabiał.

Przewodniczący GRN, pan Hermanowicz jest optymistą, liczy na dochody, wierzy w urzeczywistnienie niezbędnych inwestycji, które przewidują plany zagospodarowania wsi, wyrzeka tylko na zaopatrzenie, które jest wprawdzie nieporównywalnie lepsze niż w latach ubiegłych, ale brak wielu podstawowych artykułów, poszukiwanych przez turystów, pracujących tu robotników oraz rolników. Nie ma nawet często artykułów, których gdzie indziej jest nadmiar, np. smalec. Brak wędlin nastraja sarkastycznie, ale brak „sportów” wręcz irytuje; w zamian za te papierosy handel oferował spleśniałe „emdeemy”. Podobno choroba magazyniera w Ustrzykach sparaliżowała zaopatrzenie w całym powiecie...

Turystyka jeszcze długo nie będzie Eldoradem dla mieszkańców Polany, gdyż warunki naturalne, których przyroda nie poskapiła, nie równoważą licznych niedostatków, pozostających w gestii ludzi i urzędów. Polana liczy 40 numerów, ale za ledwie w paru domach może się turysta zatrzymać; walące i — co tu ukrywać — brudne rudery turysta będzie omijał z daleka, choć polanie są rzeczywiście wzorem gościnności. W przyszłości powstanie jeszcze ponad 30 domów rolników, podobno z tzw. izbami turystycznymi oraz 12 domów nierolników (rzemieślnicy, nauczyciele itp.). Takie są plany zagospodarowania wsi. Nawet po ich zrealizowaniu, co potrwa parę lat, baza noclegowa będzie nadal szczupła. W takiej wsi jak Polana potrzebne są prywatne pensjonaty, w których poza wynajęciem pokoju można by także zjeść przynajmniej obiad. (Wzdłuż małej obwodnicy nie ma ani jednej restauracji, dopiero przewiduje się ich budowę, ale kiedy?). Słyszałem, że wielu posiadaczy gotówki zabiega o zezwolenie na budowę pensjonatów. (Notabene mówił mi kolega, który wrócił z Karpacza, że na Dolnym Śląsku oddano w agencje nieduże domy czasowe, kiedyś nierentowne, dziś przynoszące korzyści).

Pora już na rozsądne decyzje dotyczące Bieszczadów; w przeciwnym razie turystyczne Eldorado pozostanie mirażem. M. in. trzeba zmienić niejedyn przepis prawny, chociażby w sprawie wielkości działki, którą może nabyć nierolnik; obecnie przysługuje im działka o powierzchni 20×30 m, a przecież rzemieślnik czy właściciel pensjonatu chciałby mieć parę grządek. Rozsądny jest więc postulat, by sprzedawać im do 2 ha ziemi. Takie małe gospodarstwa też przyspieszą rolnicze wykorzystanie gór, gdyż właściciele dużych gospodarstw, nastawionych na wypas bydła rzeźnego, nie mają czasu na uprawę warzyw czy sadownictwo, które ma tu duże perspektywy. Lecz znów wkraczam w dziedzinę planowania, które napawa optymizmem w przeciwieństwie do wielu realiów tej krainy nie wykorzystanych szans, z uwagi na jej bogactwo przyrody niemal egzotycznej, bo żubry, niedźwiedzie i inny dziki zwierzę...

ZDZISŁAW KOZIOL

Wieść, że na terenie Stróż działa „genialny” nauczyciel przyspieszyła decyzję inspektora. Nauczyciel uczył podobno wszystkiego na poziomie szkoły średniej. Zastanawiającą rzeczą było, czy jest to sprytny dyletantyzm, czy może niezwykła, ale fachowa znajomość przedmiotów, których uczył?...

Kontrola została przeprowadzona. Kierowniczka szkoły podstawowej, a jednocześnie łączniczka kompletów tajnego nauczania — pani Stiller — udostępniła swoje mieszkanie na spotkanie dwóch osób: inspektora i nauczyciela. Potem w jednym ze swoich protokołów oznaczonych datą 1944 roku kierownik tajnego nauczania mógł zanotować, iż pan Krochmalny jest faktycznie uniwersalnym pedagogiem, a zadziwiająca wszechstronność miała rzeczywiste potwierdzenie w faktach; nauczyciel uczył i polskiego, i łaciny, i francuskiego, i angielskiego... fizyki i matematyki osiągając efektywne wyniki.

Dzisiaj doc. dr Stanisław Zabierowski, a w tamtych latach kierownik i inspektor tajnego nauczania na terenie powiatu gorlickiego, wspominając nauczyciela równocześnie zwraca uwagę na moment, kiedy odpadły wątpliwości i podejrzenia, ale pozostało kłopotliwe zakwalifikowanie... Wiadomo, że względów konspiracyjnych nie ujawniano przeszłości ani wykształcenia ludzi zatrudnionych w tak niebezpiecznej akcji. Kim właściwie jest Krochmalny? Po kilku dniach od momentu inspekcji znalazł p. Zabierowski odpowiedź na dreczące pytanie. A była ona równie rewelacyjna jak wieść o wszechstronności nauczyciela; pan Krochmalny podpisujący protokoły egzaminacyjne pseudonimem „Melon” jest sławnym i cenionym w świecie nauki matematykiem.

Urodził się w 1887 roku w Jasle. Tam też „poddął się” — jak wspomina — egzaminowi wstępnemu (jednemu z pięciu w jego życiu!) i zdał w 1897 roku do gimnazjum klasycznego.

Najważniejszym przedmiotem była łacina, która w pierwszej klasie zajmowała 4 godziny tygodniowo. Byłaby łatwa, gdyby nie gramatyka. Niemczyzną znaleźmy już trochę z „normalki”, a teraz musieliśmy czytać alfabet gotycki — co gorzej — pisać (n.b. nikt w całej klasie nie kaligrafował tak podnie jak ja!)

Na lekcji geografii zażądano narysować (jako ćwiczenie domowe) szkic rozgałęzienia linii kolejowych stacji jasielskiej, podobało mi się to zadanie, ale gdy zobaczyłem moją mapę pan Truszkowski, odrzucił ją...*) Te drobne niepowodzenia ucznia nie stanowiły zbyt dużej przeszkody, skoro w 1905 roku ukończył szkołę i zapisał się na wydział filozoficzny Uniwersytetu Lwowskiego. Potem przysłała kolej na matematykę i ta nieoczekiwanie rozstawiła imię jasielskiego ucznia. Wyjeżdża do Getyngi, w kręgu matematyków o światowej renomie w wieku 24 lat uzyskuje stopień doktora, w wolnych chwilach uczy się m. in. języka... polskiego!

— Z dała od bliskich mowa nasza wydała mi się najpiękniejsza. Rozpocząłem więc gruntowną naukę tego, co się poznawało od pierwszych słów dziecka, a czego długo nie znało się dobrze...

W 1912 roku wraca do Jasła, prowadzi samodzielną działalność naukową. Pierwsza wojna światowa przeobraża matematyka w żołnierza, a po wojnie cel naukowy przysłała praca w charakterze... urzędnika technicznego przy gazociągach.

Było to jednak chwilowe „minięcie się z powołaniem”, bo oto w 1920 r. mianowany zostaje profesorem nadzwyczajnym, a w trzy lata później zwyczajnym Uniwersytetu Lwowskiego.

I znowu wojna... Z tego okresu pochodzi wiadomość krążąca w ustnych relacjach jako anegdota o profesorze, który obliczył straty niemieckiej armii podczas działań wojennych w określonym czasie. W lapidarnym uzupełnieniu należy dodać, że matematykowi wystarczyło do tego pilne odnotowywanie komunikatów gazetowych (dotyczących zawiadomień rodzin niemieckich „o śmierci ojca, męża, syna”) rejestrowanie nekrologów itp., a do

KIM
JEST
PAN
KROCHMALNY?

tego kartka papieru, ołówek i „rachunek prawdopodobieństwa”.

Jak wielu ludzi nauki, musi na pięć lat zapomnieć o swoim nazwisku — włącza się w akcję tajnego nauczania jako znany nam już pan Krochmalny.

— Profesor Steinhaus jest świetnym polonistą. Tak, polonistą!... Sposób, w jaki mówił student III roku matematyki z Uniwersytetu Wrocławskiego mógł budzić zrozumiałe w takiej sytuacji podejrzenie, iż ma się do czynienia z kpiną. Jak można pytać, kim jest profesor Steinhaus! Przedstawiciel organizacji studenckiej opowiedział zaś w formie komentarza historyjkę z listem wyśtosowanym do profesora. Chodziło o krótki wywiad. List wrócił. Hugo Steinhaus odpowie na prośbę wtedy, gdy pismo będzie dobrze po polsku zredagowane.

— Mówi pani dobrze po polsku

— ???

— Możemy więc kontynuować rozmowę — powiedział najbardziej cięty polonista wśród matematyków. Wkrótce potem nie było już nic ze sztywności egzaminatora. Patrzyłam na profesora i słuchałam jego barwnych relacji o beztrojskich latach dzieciństwa w Jasle, o latach pełnych trwogi, kiedy ukrywał się pod nazwiskiem, „Krochmalny”, o studiach i

pierwszych krokach człowieka nauki.

— O matematyce nie chcę mówić — dodał. Przyjęło się utożsamiać matematykę z... księgowością.

„Sytuacja matematyki w Polsce jest tragiczną omyłką i nieporozumieniem. Już samo nazywanie „matematyką” rachunków w szkole jest błędne; przecież nikt lekcji czytania i pisania nie nazywa nauką literatury polskiej!”

Na jednym ze swoich przemówień z okazji nadania tytułu „honoris causa” Hugo Steinhaus powiedział:

— „Matematycy polscy twierdzą, że ich nauka stoi w Polsce wysoko, a matematycy innych krajów na ogół zdanie to potwierdzają: w każdym razie polska produkcja towaru zwanego „matematyką” cieszy się w świecie lepszą opinią niż nasza produkcja konserw, tekstyliów lub odborników. Ze nasz kraj znajduje się w tej chwili w sytuacji ekonomicznej trudnej, wiedzą wszyscy ludzie trzeźwi. Ale nawet oni nie wiedzą, że matematyka dysponuje środkami umożliwiającymi ulepszenie produkcji konserw, tekstyliów i radiodbiorników...”

Tak więc dochodzimy do jednego z ciekawszych — chociażby ze względu na „dostrzegalne efekty” kierunku: zastosowań matematyki. Nawet laikom nazwisko Hugona Steinhaus kojarzy się z możliwością matematycznego dochodzenia ojcostwa (np. w sprawach o alimenty), z problemem wydajności pracy, rzeźbą terenu geograficznego, teorią zawodów sportowych i... teorią gier liczbowych, których zastosowanie może być odniesione do wielkiej techniki i przemysłu.

Długa lista tytułów, nagród, odznaczeń w jakiś sposób dokumentuje dorobek matematyczny Hugona Steinhaus. Ale profesor nie chciał o tym mówić. Wrócił wspomnieniami do Jasła, do miasta, które z okazji 600-letniego istnienia wyróżniło go nadaniem tytułu „Honorowego Obywatela”. W „Księdze pamiątkowej” — Stulecia Gimnazjum i Liceum jasielskiego zapisał krótkie, ale za to z pamiętnikarskim zacięciem i swadą wspomnienia. Jedynie zastrzeżenie to:

„Nie mogę wszystkich moich doświadczeń uwzględnić i ustawić ich chronologicznie; poprzestanie na nielicznych faktach i zdarzeniach, które zapamiętałem, aby wytłumaczyć dzisiejszej młodzieży jasielskiej, czym było gimnazjum jasielskie wtedy, gdy byłem jego uczniem...”

JUSTYNA WOS

*) Fragment wspomnień z „Księgi pamiątkowej” — Stulecia Gimnazjum i Liceum w Jasle.

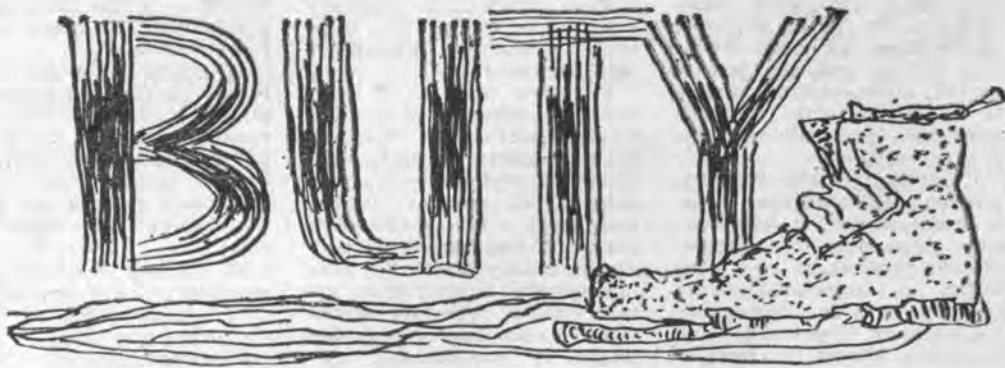
Widnokrąg odpowiada

St. S. Brzozów: Wiersze, które otrzymaliśmy zawierają sporo naiwności, chropowatości i tzw. „prawd oczywistych”. Ale mimo to zasługują na uwagę. Jest w nich dużo kultury literackiej, parę barwnych i celnych metafor, a przede wszystkim spory zasób wyobraźni. Warto kontynuować próby poetyckie przy wytrwałej i cierpliwej pracy nad sobą w tym kierunku. Trzeba również walczyć ze skłonnościami do wielosłownia i do używania sformułowań sztucznie „wykoncypowanych”, jak np. „posągi z bezwyrzajem w kamieniu”, „twój głos rozkoszny jak pocałunek dwóch tulipanów” itp.

Ryszard K. Lubaczów: Pańskie utwory nas zainteresowały. Są liryczne, obrazowe i dość dojrzałe mimo skłonności do retoryki i patosu. Chyba wybierzemy z nich coś do druku. Prosimy jednak o cierpliwość — trzeba będzie trochę poczekać.

Kamil Omar — Rzeszów: Istotnie z wierszy wynika, że autor nie może mieć więcej niż 17 lat. Utwory są bardzo młodzieńcze, naiwne i chaotyczne. Pełno w nich uosobienia się w przestworza, dusz rwących się w przestrzenie, rwących się serc, łak wonnych uczuciem, nie zerwanych kwiatów nadziei i perlących się potoków życia”. To są wszystkie puste komunały, frazesy bez pokrycia uczuciowego. Ta droga nigdzie nie prowadzi. Wiersze pisze się swoim życiem, a nie wielkimi słowami.

JERZY SZPUNAR



Mama stoi nade mną i zala-
muje ręce. Ale co ja jestem
winien, że mi się to wszystko
tak nieporządnie porządkuje?
I w ogóle tych butów pod szafą
kuchenną na ganku jest za du-
żo. Małe, duże, lappcie i zimo-
we, wszystko absolutnie zakur-
zone i zeschnięte, jak te skór-
ki od chleba, które tatuś każe
zbierać dla królików, żeby zęby
miały na czym ostrzyć. W moim
zimowym bucie siedzi ogrom-
ny tłusty pajak. Brr. Mocno za-
mykam oczy i trzymając to da-
leko od siebie, wytrząsam go.
Pajak wystraszony, znika pod
szafę.

Mama pochyla się i wybiera
te najlepsze i lepsze, a zresztą
pójdzie na śmietnik. Aha —
pójdzie. Chociaż buty same
chodzą nie chcą i będą musiały
wynieść je, a ta kładka nad be-
tonowym śmietnikiem trzeszczy
a stęka chyba od początku świa-
ta.

Wreszcie zostaje tylko jedna
para niby ta najgorsza z lepszych,
półbuty tatusia z zadartymi no-
sami, a jeden to nawet rozdzia-
wia gębę i warczy szczerząc
kołki, pewno ze złości, że obu-
dzono go ze snu zimowego. Pod
spodem mają piękne dziury.
Mama wdycha i nie może się
zdecydować, czy wepchnąć je
pod szafę wraz z innymi, co to
„mogą się jeszcze przydać”, czy
już wyrzucić cały interes na
amen. Sprawę rozstrzyga tatuś,
który właśnie wszedł na ganek,
brzęcząc kluczami w kieszeni
fartucha.

— A to co? Obywateli wolnej
a niepodległej urzęda wyprze-
daż obuwia męskiego, damskiego
i nijakiego? Lepiej byś króliki
nakarmił, bo ogonami już nie
mogą kiwać, tylko tupią bez
przerwy. Aaa! Moje byle la-
kierki. Przydadzą się na co
dzień do roboty. Wyczyść i za-
nieś do Czada. Ma tam jeszcze
moją skórę, to podzeliuje. I
przyniesiesz te z cholewkami,
które robi od kwietnia. Daj no
Mila coś popić, bo mi w gardle
całkiem zaschło.

Jestem uratowany od węd-
rówki na śmietnik. I cierpię
mi skóra: w nocy lalo i Tadek
Szczepanik ogłosił na całej uli-
cy, że Mikośka wyjechała ze
swego korytka i huczy niby
Niagara, ta z mojej książki geo-
graficznej od wujka Edka. A
do szewca trzeba maszerować
przez kładkę na Mikośce. Żeby
to gęś kopnęła. Żeby to skisło.
Żeby te buty diabli wzięli. Hm.
I żeby za mnie zanieśli. Ale nie
z tego: z tatusiem nie ma co
się kłócić, bo przecież mu nie
powiem o potopie; wysmieje
mnie, albo, co gorsza, powie,
że się boję. A ja się nie a nie
boję. A żeby to pokręciło. A że-
by to...

Tatuś przesunął okulary na
czoło, lyknał pół litra kwaśne-
go mleka i wychodzi do maszy-
nowni, bo dziś badają kolektor.
Iskrzy coś. Żeby tylko nie spa-
lił się, bo dwie maszyny nie da-
dzą rady, jak trzecia nawali,
światło w nocy zgasi się, przyjdą
znów zielonki, albo — tfu, tfu
— trupie główki i będzie awan-
tura. Znow wezmą tatusia na
żandarmerię i wymachując re-
wolwerami będą wrzeszczeć o
sabotażu w elektrowni.

Tatuś chrząknął, pokrobał się
po głowie i nakręcił mi ucho,
żeby mi niby słyszał wszystko, co
mi przykazuje i poszedł na ha-
le maszyn. To znaczy, że nie
jest tak źle. Mimo to muszę
maszerować przez Mikośkę. Zły
jestem i pod nosem mruczę so-
bie jej właściwą nazwę, bardzo
brzydka: na nie innego w tej
chwili nie zastępuje. Bo to rze-
czywiście granda, żeby taka
rzeczka — nie rzeczka, takie
płynące, a śmierdzące nic, śmia-
ło wylewać i to akurat wtedy,
gdy ja mam iść przez kładkę.
Ja jej pokażę!

Biorę te wściekle buty, zawi-
jam w „Gońca” i niosę delikat-
nie: może gdzieś w czubku sie-
dzi jaki pajak? Mysz to chyba

nie, bo już by związała. Króliki
mama idzie nakarmić, to nie
będą tupać.

Wychodzę na ulicę. Grzeje,
aż chodnik parzy, gdy palec
wyskoczy mi z sandala i wle-
zie na płytę, chcąc widocznie
zbadac, czy jest solidna. Na
pewno solidna. Chodnik zrobili
Niemcy z nagrobków starego
żydowskiego cmentarza, który
jest blisko, na Grunwaldzkiej.
Dlatego po tym różnokoloro-
wym chodniku idę zawsze jak-
oś tak niewyraźnie, jak bym
komuś zrobił coś złego. Wołę
już iść środkiem uliczki, ale
teraz są tu straszne doły i moż-
na sobie nogi trochę połamać.

Nie ma co. Trzeba wstąpić
do ciotki Baby, która siedzi u-
śmiechnięta na ganku swojego
domku schowanego wśród orze-
chów i śliwek, i robi na dru-
tach. Ciotka Baba zawsze robi
na drutach, gdy nie gotuje o-
biadu. Wchodzę, a gdy bramka
skrzypnęła, Muszka wypada ze
straszliwym szczekaniem, zzia-
jana, i chce odebrać mi buta.
Ale już taka jest i czy zła, czy
się cieszy, zawsze szczeka jak
każdy szpic. Teraz mlaska, bo
się jej kawałek „Gońca” przy-
lepił do podniebienia. Od
dwóch dni jest okropnie zła, bo
ja pan Milek ogolił, „żeby od
gorąca nie dostała kręćka” —
jak powiedziała ciotka Baba.

Teraz, gdy się popatrzy na Mu-
szkę, jaką ma kile na ogonie
i brode, to można pęknać ze
śmiechu, nieczym mój stary ba-
lon z odpustu. Tylko balon, to
pękł nie od tego: tatuś szty-
dłem męczył pasek, zamachnął
się i trafił w wiszący na ścia-
nie balon. Huk był taki, że
Kuba, zadzierzasty nasz kogut,
który akurat zerkał do kuch-
ni, co by dziobnąć, zrobił taki
bieg, że pan Jabłuszko wyplą-
tywał go z drutów i krzaków na
końcu ogrodu cały kwadrans.
Więcej głodomór do kuchni nie
zerka.

Ciotka Baba, która zawsze
każdego musi poczęstować pla-
ckiem albo czymś innym, nale-
wa mi kompotu z przykrytego
słoja, który stoi na ganku w
wiadrze z zimną wodą i mówi:
— A co to się z tobą dzieje,
że cię ani nie uswiadczy? Gru-
szki stoja w kuchni i gnija.
Wybierz dla mamy na kompot,
a tych dużych nabierz też, to
na placek i dla ciebie do brzu-
cha.

— Zrobi się. Nie było mnie,
bo u babci było młócenie, no-
siliśmy z Kazkiem słomę i fi-
kaliśmy koziołki. Kompot py-
cha. Jak będę wracał od Czada,
to wezmę gruszki. Teraz
lece.

Ciotka Baba uśmiecha się zza
okularów.

— Tylko nie pędź, bo ci oj-
ciec skórę wytrzepie.

Rzeczywiście, tatuś krzyczy,
gdy biegam, bo miałem kilka
razy zapalenie oskrzeli i nie
wolno mi ganiać po ulicy. A
ja tak lubię galopować w dół
naszą starą, wąską uliczką
wśród ogrodów. Pędzi się w-
skim chodnikiem i nagle — za-
kręć w lewo. Wtedy wpada się
na przykład na kogoś i odbija
się głową od jego brzucha jak
piłka.

Ktoś tam coś krzyczy o nie-
sfornej bandzie smarkaczy na
tej Łysiej Górze (tak dziwnie
się ta nasza ulica nazywa) i o
czymś tam jeszcze, czego nie
można powtarzać bez zatkania
uszu, ale ja już jestem na dru-
gim zakręcie, w prawo. Tu
już ulica zbiega całkiem na
dół i kończy się, jest ślepa,
chociaż i wszystkie inne oczy
nie mają. Dalej, w lewo, idzie
tylko ścieżka, która schodka-
mi złazi nad rzeczke. Uff —
rzeczywiście. Mikośka zwario-
wała na amen. Stoję nad nią i
ze zdumienia dźwięc w nosie.
Buty wystawily czubki z po-
targanej przez Muszkę gazety
i też się chyba dziwią, a na-
wet mają stracha, bo drżą tro-

chę, a od tego trzęsie mi się
ręka i wiele innych rzeczy. Wo-
da pędzi bardzo szybko i prze-
lewa się ponad zrobioną z dwóch
belek kładkę, tak że zrobił się
taki trochę wodospad. Cała
Mikośka burczy, jak by ją
brzech bolał i jest całkiem żół-
ta i brudna. Buty chowają się
głębiej w „Gońca”, przyciskam
je mocno pod pachą i bardzo
myślę, aż mi od tego włosy się
unoszą i kłują w głowę. A ta-
tuś mówi, że to tylko ze strach-
u wstają włosy na głowie.
Wszystko by było dobrze, ale
nogi mi się zbuntowały: do ty-
łu to chcą, a jakże, naprzód

uchu widać kawałek dyndają-
cej miedzianej sprężynki, co
jest bardzo niebezpieczne i
pachnie sabotażem! Jakby to
zielonki odkryli, to by zdjęli
i zamienili na żelastwo, tak
jak nam całą sieć elektryczną.
Gdy wchodzi, pan Czado siedzi
przygarbiony na swoim stolku-
dołku i wściekle wali młotkiem
w jakiegoś chodaka, aż mu
podskakuja okulary przesunię-
te na czoło. Nagle — siup. —
i spadają mu na nos. Wtedy
spogląda na stronę drzwi i mó-
wi:

— Aaa, dzień dobry panu dy-
rektorowi.

— Dzień dobry.
Następnie patrzy, zły okrop-
nie, na tego buta, którego tak
sprął i widzi, że gdy wali w
piętę, but wyszczerzył z przodu
wszystkie zęby, czyli kołki.
Majster macha z rezygnacją
ręką, odkłada nieszczęsne
szczętki, wyciąga ogromną kra-
ciastą chustkę i jak nie dmuch-
nie! Aż mu świeczka przyle-
piona do brzoju stolka, zgasta.
Wtedy zwraca się do mnie:

— Co tam nowego słychać?

— Słychać to nic, ale widać
to i owszem. Dziury. O, tutaj.
Pan Czado, majster jak się
patrzy, obejrzał wszystko dok-
ładnie, tu przyduśił dłońią,
tam wsadził palec, pokręcił
głową i westchnął:

— To chyba za tydzień. Skó-
rę mam.

— A tatuś prosi o te z cho-
lewkami.



Rys. J. SIENKIEWICZ

— A są, są dawno gotowe.
O tam, na drugiej półce w szaf-
ce.

Biorę gotowe buty, kłaniam
się pięknie i znikam. Ulica jest
pusta, można więc zrobić bieg.
Kretą nieco uliczka, po wąskim
chodniku, przeskakując braku-
jące płyty, aż mi wiatr gwiz-
dże w uszach. Teraz mostek
nad Mikośką, głęboka tutaj i
bulgocąca w betonowym ko-
rytku i już następna uliczka
w prawo. Można by teraz przez
dziurę w płocie wpaść do o-
grodu pana Bieniasza i dostać
się różnymi sposobami do do-
mu, ale po nocnym deszczu
może być błoto na ścieżkach.
Dość kąpieli. Rozpędzam się z
mostku w dół, a potem w pra-
wo, w górę i nagle hamuję
szybko. Za późno. Zielonka
wrzeszczy na mnie z daleka:

— Komm, komm... — i coś
tam jeszcze, czego dobrze nie
rozumiem, choć z takim, któ-
ry mówi wyraźnie, jakoś się
dogadam.

Żandarmi otaczają ludzi, po-
wypędzanych chyba z domów,
bo widzę znajomych. Popycha
mnie ten taki-owaki i nagle
czuje, że krew spływa mi
gdzieś na dół i robi mi się słabo.
W środku stoi jakiś chudy,
wysoki i ryczy. W pierw-
szej chwili nie widzę do kogo.
Przełykam ślinę.

Kilka metrów od krzyczące-
go żandarma, tuż pod słupem
telegraficznym, leży stary,
trzęsący się Żyd. Teraz już ro-
zumiem. To pewno ten, które-
go znaleźli rano w starej szopie
na żydowskim cmentarzu.
Coś o tym tatuś wspominał,
ale nie wiedział dokładnie. Był
to — jak mówił — stary Izaak,
co przed wojną handlował
szmatami, chodził po ulicy i
krzyczał:

— Kto da szmate za dobre
zapłatę!

Wtedy mama wyjmowała ja-
kąś starzyznę i dawała mu
wraz z grubą kromką chleba z
masłem i serem. Gdy Izaak
szukał „grubych pieniędzy” i
długo grzebał w jakimś wo-
reczku, mama śmiała się i mó-
wiła, żeby dał spokój, bo ta-
kich wielkich pieniędzy, jakich
ona żąda i tak nie wygrzebie.
A Izaak kłaniał się nisko i
mówił zawsze tak samo:

— Całuję rączki pani dzie-
dziczce i życzę dużo szczęścia.

Każdą panią domu nazywał
dziedziczką. Może dlatego, że
sam dziedziczył tylko ośmioro
dzieci zawsze głodnych?

A teraz Izaak leży pod słu-
pem, a chudy żandarm z trupa-
ją gębą ryczy, żeby wdrapy-
wał się na górę, albo niech po-
wie, kto go ukrywał, nim zna-
lazł się w szopie. Słup jest ca-
ły w drzazgach i sześćdziesięcio-
letni już chyba Izaak całe stopy
ma pokrwawione. Obejmuje
słup i powoli zaczyna się dźwi-
gać. Zamykam oczy, bo czuję,
że robi mi się mdło. Chudy ryk-
nął śmiechem. Otwieram oczy.
Izaak znów leży rozciągnięty
na wznak i ciężko dyszy. Brud-
na koszula na jego piersiach u-
nosi się bardzo szybko, jak by
za chwilę miał odetchnąć po
raz ostatni.

Zielony rozgląda się dookoła
i mówi coś. Nie pamiętam, ale
coś o tym, że Polacy to dobry
naród, przechowują Żydów,
więc teraz niech ktoś da buty
temu Żydowi, to może się prze-
dziej wydrapie do nieba, a jak
nie, to go tutaj zastrzeli. Do-
piero teraz widzę, że w prawej
ręce, opuszczonej w dół, trzyma
ogromne parabellum.

I w tej chwili przestaję się
bać.

Idę sztywno, bo nogi mam
jak kołki, w stronę Izaaka. Pa-
trzę tylko w ziemię. Powoli,
dokładnie odwijam z gazety
buty, pochylam się i stawiam
je koło wyciągniętej w prochu
ręki. Starannie, wolno składam
gazetę. Teraz czuję, że bardzo
trudno wyprostować plecy. Sta-
ję, krew napływa mi do twa-
rzy. Widzę czarny pistolet, zwi-
sa w ręce żandarma. Potem gu-
ziki świecące w słońcu, kłamra
od pasa, gdzie pisze „Gott mit
uns”, znów guziki i kołnierze do-
kładnie zapięty. Gęba, która
nie jest twarzą. Szara, jak u
trupa. Coś strasznie mi dzwoni
w uszach. Nagle słyszę gdzieś
z dołu, jak by z głębi ziemi,
szepot:

— Bóg zapłać.

Słabo mi, lzy napływają do
oczu. Nie wolno. Nie wolno płakać,
bo ten zielony diabeł strzeli.
Albo we mnie, albo w Izaaka.
Albo we wszystkich. Powoli
rozglądam się. Wszyscy patrzą w
ziemię jak by byli obcy, jak
bym już nie istniał.

I wtedy żandarm powoli,
bardzo powoli, podnosi pistolet.
Chcę się modlić. Tymczasem
szybko myślę, czy te buty będą
dobre na spuchnięte nogi
Izaaka. A zielony chowa pisto-
let do kabury i bierze się pod
boki. Teraz dopiero czuję, że
dotąd wstrzymywałem oddech.
Mogę oddychać, to wielka przy-
jemność. Zaczyna mnie razić
słońce, choć cały czas świeciło
mi w oczy. Żandarm rozgląda
się po ludziach jakoś tak dziw-
nie, dumnie, jak by chciał się
uśmiechnąć.

Rzucam się naprzód, roztrzą-
cam ludzi i uciekam w górę
ulicy. Pędzę tak, że mi dech
zapiera. Niech strzela. Niech
strzela. Czuję jak kule rozry-
wają mi ręce, nogi, brzuch, wy-
kluwają oczy. Teraz zakręć w
prawo. I jeszcze raz, w następ-
ną uliczkę. Wpadam przez furt-
kę, werandę, zatrzymuję się do-
piero w sypialni, przeleciawszy
przez wszystkie pokoje i rycze.
Wbiega mama, za nią tatuś,
który krzyczy co się stało z bu-
tami. Przestaję płakać.

— Buty dałem Izaakowi, bo
leżał pod słupem i było pełno
ludzi i żandarm powiedział, że
jak mu kto da buty to się wy-
dranie na słup i wtedy go nie
zastrzeli i dałem mu buty i ucie-
kłem.

Dzieje się coś dziwnego. Ta-
tuś strasznie się marszczy i zde-
jmuje okulary. Przygląda mi się

(Ciąg dalszy na str. 8)

Włodzimierz Wal BARTNICZY RÓD SUDOŁÓW

(Ciąg dalszy ze str. 4)

się nawet do ludzkich zagród. Chłopi wybierający miód z barci musieli oddawać go do starostw, skąd wędrował później do króla, do możnych. Prawo bartnicze było niezmiernie surowe. O ile wykryto złodziejaską, najczęściej na podstawie pokaszenia przez pszczoły, wówczas skazywano go nierzadko na karę śmierci. Jedna barć dawała rocznie ok. 200 kg słodkiego przysmaku.

Lecz hodowla pszczoł była i jest dla Sudołów nie tylko podstawą egzystencji. W czasie ostatniej wojny kto wie, czy nie uratowały ich one od ruiny, a może nawet od śmierci. Mianowicie, kiedy ludność miejscowa musiała przymusowo opuścić ten rejon przeznaczony przez hitlerowców na poligon wojskowy, wówczas Sudołom udało się przekupić jednego z nadleśniczych niemieckich właśnie miodem i przetrwać ponurą noc okupacji. Niestety, zniszczeniu uległy wówczas cenne zapisy, mapy rękopiśmienne oraz akta obrazujące przeszłość naszego bartnictwa.

Józef Sudoł cieszy się na szczęście, chyba dzięki miódce, dobrym zdrowiem. Siedzi pod strzechą i leciwy bartnik zadziwia nas błyskotliwością umysłu, poczuciem humoru. Opowiada, że w młodości grywał na skrzypcach, i że za najpiękniejszą uważa muzykę smyczkową.

— Do tego trąbka, klarnet, basy i czasem flet — śmieje się.

— A jakieś historyjki? —
— O psocłkach — podchwytuje uroczy staruszek — dawniej, jak się bartniki poschodzili, nakrajali se miodu, wzięli wódki, nie żeby się poupijali, ale się pięknie bawili i śpiewali np.

„Kiedy słońce świeci a nauka dzieci gdy ptaszki śpiewają psocłki miód zbierają,
Kiedy kwitną kwiaty, kąkolę bławaty,
gdy ptaszki śpiewają psocłki miód zbierają”.

W śpiewie dzielnie wtóruje Józefowi Sudołowi jego żona. Razem zaś mają z czego się cieszyć. Mieli siedmiu dzieci, z których z wyjątkiem najmłodszego, które umarło, wszystkie zdobyły pozycje w życiu, kilkoro natomiast uzyskało wyższe wykształcenie.

Jeden syn w Krakowie jest inżynierem leśnikiem. Drugi, w Warszawie też inżynierem. Trzeci pracuje w Szczecinie, czwarty w Rzeszowie, w budownictwie. Córka powędrowała do Gdyni. Dziś z wszystkimi dziećmi utrzymują Sudołowie kontakt, głównie za pośrednictwem listów, jakkolwiek na wakacje, z okazji świąt często odwiedzają rodziców. Ile wówczas radości w domu. Teraz wokół obejścia Pawła Sudoła kręci się pożądana czeredka... wnucząt. Zródłem zdrowia kilkudziesięcioosobowej rodziny Sudołów jest oczywiście miód.

Lecz prawie 80-letni bartnik Józef Sudoł, mimo że mieszka z dala od skupisk ludzi, od większych wydarzeń, żyjący w „symbiozie” z pszczołami interesuje się zachodzącymi przemianami i tak mówi:

Zmiany na świecie są ogromne. Za moją pamięć nastąpiły bitycykle, potem rowery, maszyny do szycia, samoloty i karabiny maszynowe. Dawniej jak człowiek chciał zarobić, ceba było jechać za granicę. Dzisiaj, jak kto chce pracować i jak się kto sanuje można żyć, mo okrycie, można się zabawić.

W Polsce jest życie najmilse.



Lejtnant Aleksander Dmitrijew.

Tego lata poległo ich wielu. W różnych częściach Rzeszowszczyzny ginęli żołnierze w zielonych bluzach - gimnastorkach, ginęli za wyzwolenie tej ziemi, za wolność tych, co na niej mieszkali i tych, co mieli tu żyć w przyszłości. W 24 rocznicę wyzwolenia chcemy przypomnieć jednego spośród tysięcy poległych, narysować sylwetkę człowieka, który przemierzył tysiące kilometrów, spod gór Altaju nad Wisłok i Wielopolkę, by tu właśnie zginąć w walce ze wspólnym wrogiem.

Mówi Roman Pipala, listonosz ze wsi Czarna Sędziszowska:

— Rosjanie wkraczali do nas dwa razy. Za pierwszym razem cofnęli się, dopiero za drugim rozlokowali się na stałe. Ten oficer i kilku innych kwaterowali w moim domu. Zapamiętałem jego nazwisko, a także nazwy okolic, skąd pochodził, bo opowiadał nam o tym wielokrotnie.

Tego dnia rano siedzieli na ganku i rozmawiali. Później obserwowali niemieckie pozycje przez artyleryjską lornetkę, a w końcu ruszyli do swoich okopów przez łąkę. W jakiś czas po tym rozpoczęła się strzelanina, w której został ciężko ranny. Żył jeszcze dwie godziny w pobliskim szpitalu, ale nie można go było uratować. Pochowano go w pojedynczym grobie tuż obok mojego domu, przy drodze. Koledzy wystawili mu obelisk, na tabliczce wypisali jego dane personalne. W jakiś czas później ciało ekshumowano i przeniesiono na cmentarz wojenny.

Pisze ojciec poległego, nauczyciel i działacz oświatowy z miasta Jurga, obwód Kemerowski (niedaleko Tomka), Frol Mironowicz Dmitrijew:

— Urodził się Sasza we wsi Wielkie Ubinskoje, u stóp gór Altaj, niedaleko Ust-Kamienogorska. Przeszedł na świat 29 sierpnia 1917 roku, a więc tuż przed wybuchem Rewolucji Październikowej. Ojciec jego był wówczas w wojsku. Sasza był trzecim dzieckiem w rodzinie, miał dwie starsze siostry — Asię i Lenę.

Do roku 1923 rósł we wsi rodzinnej, później przenieśliśmy się do Ust - Kamienogorska, a następnie do Semipalatynska.

Tu skończył szkołę podstawową, a w latach 1932-36 uczył się w Technikum Geologicznym w Tomsku. W tym mieście ukończył później wydział matematyczno - fizyczny Wyższej Szkoły Pedagogicznej i rozpoczął pracę w mieście Jurga jako nauczyciel w szkole średniej.

W roku 1940 poszedł do wojska, do oddziałów inżynierskich - saperskich. W październiku 1941 r. został mianowany lejtnantem.

Służył początkowo na północy, później przeniesiono jego jednostkę na front woroneński, gdzie od 20 lipca 1942 r. walczył z Niemcami atakującymi Woroneż. Przez trzy miesiące był komendantem przeprawy na rzece Woroneż, pod ostrzałem faszystów budował i naprawiał mosty, kierował przeprawą rannych. Odznaczono go za to medalem „Za odwagę”. W 1943 roku uczestniczył w operacji kastońskiejskiej, a następnie charkowskiej. Jesienią 1943 roku był komendantem przeprawy na Dnieprze koło Perejastawia Chmielnickiego, kiedy wojska radzieckie po sforsowaniu rzeki zdobyły przyczółek na jej lewym brzegu.

Jego saperzy — jak wszyscy żołnierze tych wojsk — zawsze byli pierwsi podczas natarcia i ostatni w odwrocie.

W 24 rocznicę wyzwolenia

SASZA

Za walki nad Dnieprem Sasza odznaczony został orderem Wojny Ojczyźnianej II stopnia.

W następnych miesiącach uczestniczył w likwidacji niemieckich „kocioł” w operacji Korsun - Szewczenkowskiej, sam był wraz z batalionem w okrażeńiu i wyprawa z niego umiejętnie żołnierzy, wiosną 1944 r. pomagał chłopom na Zachodniej Ukrainie siać zboże.

Doszedłszy do Tarnopola, Sasza przeniesiony został z 326 samodzielny batalionu saperskiego do 20 samodzielnego batalionu saperów wchodzącego w skład 99 dywizji piechoty 60 armii dowodzonej przez gen. Kuroczkina. Z tym batalionem doszedł w walkach na Rzeszowszczyznę, gdzie poległ pod wsią Czarna 10 sierpnia 1944 r.

Pisze towarzysz walk Aleksandra Dmitrijewa — A. K. Dikariew zamieszkały w Brodach, ul. Dzierżyńskiego 6 m 17, obwód lwowski:

— Po rozbiciu niemieckiego zgrupowania w rejonie Brodów nasza dywizja w pośpiechu za cofającymi się faszystami weszła na terytorium Polski. Niemcy cofali się w pośpiechu i dopiero w Rzeszowie okazali nam opór. Otrzymałszy zadanie zabezpieczenia forsowania rzeki Wisłok bezpośrednio na wprost miasta. Zadanie to zostało wykonane, ale ranny został i odwieziony do szpitala dowódca batalionu. Dowództwo objął po nim Sasza. Walki przybrały na sile, Niemcy starali się wszelkimi sposobami zatrzymać nasze natarcie. My, saperzy, pracowaliśmy dzień i noc, zwłaszcza przy robieniu przejść przez pola minowe i wyliczaniu dróg dla czołgów.

4 lub 5 sierpnia oddziały dywizji wyszły w pobliże wsi Ostrów niedaleko Sędziszowa, gdzie zostały zatrzymane przez przeciwnika. Mimo silnego wsparcia artylerii i czołgów pułki dywizji, ponosząc duże straty, w ciągu kilku dni nie mogły przesunąć się naprzód.

My z Saszą widywaliśmy się wówczas rzadko, choć często rozmawialiśmy przez telefon. Kompanie naszego batalionu przydzielone były poszczególnym pułkom piechoty i znajdowały się razem z nimi. Spotkaliśmy się dopiero później.

Pamiętam wieś i zaraz za nią sosnowy las. Na skraj wsi trzeci czy czwarty dom, obok na podwórzu drewniana stodoła czy spichlerz pokryty słomą. Pierwsza linia — na skraj lasu. Siedząc na ziemi przed stodołą, nanoszę na mapę sytuację. Obok mnie Sasza. Kołnierzy bluzy rozpięty, rękawy podkasane. W pewnym momencie mówi:

— Wiesz Kuźmicz...
— Co?
— Wojna wkrótce się skończy. Teraz żal ginąć, kiedy już tak blisko do końca tego wszystkiego...
Ja sam myślałem o tym nie jeden raz, ale jego słowa uderzyły mnie. Zawsze był tak spokojny, wstrzemięźliwy w wyrzuciach, skromny, uśmiechnięty. Słowa, które wypowiedział nie pasowały jakoś do jego charakteru. W obawie, że rozważania na temat, jakici poruszyl, zawioda nas zbyt daleko, odpowiedziałem, by wyrzucił takie myśli z głowy i nie fantazjował.

— Kiedy jestem w takim dziwnym nastroju, nie wiem dlaczego...
Czym zakończyła się ta rozmowa, nie pamiętam, roboty mieliśmy dużo, odpowiadaliśmy obaj za setki podwładnych nam ludzi. Sytuacja komplikowała się. Piechota ponosiła duże straty, brakowało ludzi. Wieczorem 8 sierpnia otrzymaliśmy rozkaz zmienić jeden z batalionów strzeleckich i zająć obronę za tą wsią, w której rozmawialiśmy z Saszą.



Ojciec składający wieniec na mogile syna.

Fot. K. PRAJSNER

W nocy zmieniliśmy piechurów. Otrzymałszy jako wsparcie cztery działa pancerne. Rankiem 10 sierpnia mieliśmy opanować wzgórza i las naprzeciwko okopów naszego batalionu.

Po silnym przygotowaniu artyleryjskim batalion ruszył naprzód. Lewoskrzydłowa kompania zajęła już jedną linię okopów. Niemcy otworzyli gęsty ogień z moździerzy, starając się nie dopuścić naszych żołnierzy do lasu. Na równinie widzieli nas jak na dłoni.

Na punkcie obserwacyjnym było nas czterech: Sasza, ja, telefo-

syn jego siostry. Odwiedzili miejsce, gdzie walczył i gdzie zginął. Wspólnie z uczennicami miejscowej szkoły złożyli wieniec na bratniej mogile, w której spoczął.

Ich ból jest naszym bólem, a ich syn najbliższym nam człowiekiem. Pamięć o nim — nie zagięnie.

Do druku podali:

Ludwik Matłosz
Witold Szymczyk



XII PLENUM KC PZPR. 4-9 lipca 1963 r. TEZY KC PZPR NA V ZJAZD PARTII. KIW, s. 128, cena 5 zł.

Karol Marks, Fryderyk Engels: DZIEJA t. 23. KIW, s. 1089, cena 30 zł.

Jubileuszowe, na ładnym papierze, wydanie pierwszego tomu „KAPITAŁU”. Jest to czwarte wydanie w języku polskim. Oddane do druku w 100 rocznicę ukazania się pierwszego wydania tej „biblii klasy robotniczej”.

Rudolf Otto: ŚWIETŁOŚĆ. Elementy irracjonalne w pojęciu bóstwa i ich stosunek do elementów racjonalnych. Tłum. B. Kupis. KIW, s. 250, cena 37 zł.

W serii religioznawczej praca niemieckiego autora, który żył w latach 1869-1937. Książka ukazała się po raz pierwszy w 1917 roku i doczekała się przekładów na wiele języków. Jej treść koncentruje się wokół trzech podstawowych pojęć, które autor stara się uzasadnić i wyjaśnić: są to: numinosum, świętość aprioryczna i irracjonalizm religijny.

Jerzy Bronisławski: NIEWIDZIALNI W TŁUMIE. Tropami dramatycznej walki kontrwywiadu. Iskry, s. 200, cena 9 zł. Wyd. II. 70 000. „Wszystko, co wyda się w tej książce najbardziej nieprawdopodobne — zdarzyło się naprawdę” stwierdza autor tego tomu reportażu. O wywiadzie amerykańskim i zachodnio-niemieckim. O szerszej, codziennej pracy polskich pracowników kontrwywiadu i ich niecodziennych przygodach.

Janusz Meissner: „WARSZAWA” KURS NA BERLIN. MON, s. 200, cena 10 zł.

Czwarte wydanie książki znanego pisarza pilota. Zbiór opowiadań traktuje o walkach polskich lotników w Związku Radzieckim i na terenach wyzwolonej Polski w sławnym pułku lotnictwa myśliwskiego „Warszawa”. Pisane na podstawie opowiadań lotników.

Janusz Meissner: L — JAK LUCY. Iskry, s. 172, cena 9 zł. W masowym, 90 tys. nakładzie czwarte wydanie tej książki. Jest to dalszy ciąg przygód kapitana Herberta (autora) i sierżanta Pryszczaka opisywanych wcześniej w powieści lotniczej „Żądło Genowefy”. O polskich lotnikach w bitwie o Anglię.

Arkady Fiedler: MAŁY BIZON. Iskry, s. 296, cena 25 zł. Siódme wydanie popularnej wśród młodzieży książki o przygodach Indianina, Małego Bizona w okresie kolonizacji Ameryki Północnej. Przygodowa lektura szkolna. Zdjęcia autora. Ilustracje M. Majewskiego.

Wiktor Hugo: KATEDRA MARI PANNY W PARYŻU. Przeł. Hanna Szumańska-Grossowa. PIW, s. 592, cena 40 zł. Wyd. III. Swą opowieść o losach Cyganki Esmeraldy i dzwononika Katedry Notre-Dame Quiesimodo umiejscowił autor. XIX-wieczny pisarz francuski w średniowieczu, w roku 1492. Nie tylko przygoda jest głównym magnesem tej stałe poczytnej książki. Poznajemy lud Paryża i podziemne życie tego miasta. Pisane po 1830 roku i dlatego pokazuje Hugo, kto naprawdę tworzy historię.

Mark Twain: PRZYGODY TOMKA SAWYERA. Tłum. K. Piotrowski. Iskry, s. 208, cena 18 zł. Szóste wydanie książki znakomitego humorysty. Najbardziej znanymi

powieściami tego amerykańskiego pisarza są: „Księżę i zebrek”, „Przygody Tomka Sawyer’a”, „Przygody Hucka”. Szczególnie miła jest książka o przygodach urwisa Tomka i jego przyjaciela Hucka znanych nad brzegami Missisipi. Oparte w dużej mierze na autobiografii.

Teodor Parnicki: NOWA BASN. Część V. Wylegarnie dziwów. Tom ten jest jak gdyby komentarzem do tomów poprzednich. Akcja rozgrywa się w XVII wieku, ale często autor cofa się do czasów dawniejszych lub wybiega naprzód. Wiele znanych postaci, m. in. Zagłoba występują na kartach tej historycznej książki.

Lion Feuchtwanger: GOYA. Tłum. J. Fruehling i J. Grabowski. PIW, s. 692, cena 35 zł. Wydanie szóste. Nie jest to biografia w ścisłym tego słowa znaczeniu. Jest to raczej powieść, której bohaterem jest słynny malarz hiszpański. Ponadto na te wiernie przedstawionej epoki i jej młoty watek miłosny, szczególnie znana młoty malarza do Cayetany Alby. Liczne reprodukcje dzieł Goi ilustrują książkę.

Władysław Basak: CHOROBY WIRUSOWE ROSLIN SADOWNICZYCH. PWRIL, s. 208, cena 20 zł.

W. Byszewski: KIERUNKI PRZEMIAN W PRODUKCJI ROLNICZEJ. PWRIL, s. 264, cena 35 zł.

N. Miedwiediew: PORADNIK HODOWLI LABORATORYJNYCH MYŚZY LINIJNYCH. Tłum. J. Kulikowski. PWRIL, s. 208, cena 20 zł.

Karol Michna: PRODUKCJA GOSPODARSTWA CHŁOPSKICH. Studium na przykładzie rejonu puławskiego. KIW, s. 284, cena 25 zł.

Zygmunt Lubkowski: JĘCZMIEN. PWRIL, s. 204, cena 15 zł. Wyd. II. Edmund Nowacki: OD CHWASTU DO PSZENICY. PWN, s. 176, cena 10 zł. „Omega”.

Marian Wałczak: ZNP WCZORAJ I DZIŚ. KIW, s. 182, cena 18 zł.

Kartki dla Ewy

OGÓRKI

Ktoś powiedział, że sezon ogórkowy to najstraszliwsza nuda, remonty i remanenty. Protestuję! Ogórki są w lecie, a lato bywa najpiękniejszą porą roku, mogłoby trwać dwaście miesięcy z maleńką przerwą na Sylwestra.

Wszystko ma swoje dobre strony, nawet inwentaryzacja w SAM-ie na rogu. Po pół kilograma soli człowiek wędruje do innej dzielnicy łącząc piękne z pożytecznym: spacer, zwiedzanie nowych sklepów, a przy okazji nadprogramowe zakupy. Wyda się marnie jedną lub drugą secinę, a wieczór dręczą nas wyrzuty sumienia, że do pierwszego zęby w ścianę wbijać przyjdzie. Ciemną więc nocą przeprowadzamy kombinacje budżetowe — starczy, nie starczy i zasypiamy myśląc: „na co ci było”...

Ranek jest jednak pogodny. Podwórka milczą. Mleczarz nie szczeka butelkami, potulnie i cicho stoją trzepaki, tak jakby zapomniały o swoim przeznaczeniu. Istny raj. Dzieci wywiezione na wakacje, zmotoryzowani przestali grzebać w silnikach i zdzierają opony na szosach, wyłączono połowę radiodbiorników i telewizorów.

Podobno w kinach wyświetlają same chały. Tak twierdzą ci, którzy podczas deszczu umierają z nudów na letnisku. Tymczasem w mieście idą wznowienia programów, na które w sezonie nie dostaliśmy biletów. Teraz tyle ich, ile dusza zapagnie. Kino wywietrzone, nikt się nie pcha, czekoladki w bufecie.

W bibliotekach bez trudu pożyczają się romansy do poczytania, leży sobie bowiem na półce i czeka na czytelnika. Nawet „Klubowe” trafiają się w kioskach, a w perfumerii szampon tonizujący. Za jedyne 14 złotych co dzień można zmieniać barwę czupryny. A jeśli przypadkiem wyjdzie zielona, też nie powód do zmartwienia. Można się ostrzyć na jeża i wytłumaczyć znajomym, że długie włosy w lecie są zupełnie niemożliwe. Poza tym zieleń to kolor ogórków, rośliny doskonale od lipca do jesieni owocującej w naszym klimacie. Ogórki jadamy w stanie niedojrzałym. Kto tego nie docenia, niech spróbuje najeść się zielonych gruszek lub moreli. Urozmaici sobie kilka następnych dni.

Ogórki należy cenić, gdyż bez nich w kuchni ani rusz; mizeria, faszerowane cielęcina, jędrne korniszonki. Pyszności! Żywnym się nimi okrąży rok w najrozmaitszych postaciach. Nie wiem czym stolówki i restauracje zatkałyby jadłospisowe dziury, gdyby brakło ogórków. Jeszcze teraz, w pełni sezonu, tu i ówdzie, trafiają się konserwowe remanenty podawane pod postacią zup niewybrednym turystom. Kiszzone specjalnie sprzedają na plażach, odpustach i górskich przełęczach. Sztuka 2 złote. Wszystko to świadczy niezbitnie o wielkiej popularności tej rośliny, bliskiej zresztą krewnej dyni, melona i kawona. Te ostatnie nie udają się wprawdzie w naszym klimacie, mam jednak nadzieję, że dystrybutorzy nie zawiodą i, jak co roku, pokażą się one na rynku. Szlachetne koligacje polskiego ogórka i uznanie, jakim cieszy się wśród obywateli nakazuje stawiać go w rzędzie jarzyn szlachetnych. Tymczasem postępujemy go na każdym kroku niewczesnymi żartami i porównaniami: nos jak ogórek, skisły jak ogórek, głupi jak ogórek. Czego to ludzie nie wymyślą...

Sezon ogórkowy w mieście jest pełen kurzu, smaku roztopionych lodów, zapachu kwiatów wędnących na targach. Wszystko nam się wydaje tymczasowe. Mamy ochotę wiele spraw odłożyć ad acta, poleniuchować. Wyjątek stanowi kieszonki ogórków, jeszcze wprawdzie nie zimowe, w dębowych bekach, tylko takie, aby było na podorędziu coś do przegrzania. Ogórki z koperkiem, czosnkiem, dębowym listkiem i lyżeczką miodu. Jak kto woli. BEGA



MARIA KOSTECKA — z zespołu teatralnego przy ZDK w Mielcu.
Rys. J. SIENKIEWICZ

LE CORBUSIER
NIEZNANY

Twórczość Le Corbusiera znana jest powszechnie; mało osób wie jednak, że ten wielki architekt był również malarzem i rzeźbiarzem.

Le Corbusier nie wystawiał nigdy prac, które wyszły spod jego pędzla lub dłuta. Nic więc dziwnego, że otwarta w Zurychu w „Centrum Corbusiera” niewielka wystawa jego malarstwa, rzeźby i grafiki ściąga licznych zwiedzających. (Kt-PAP)

BUTY

(Ciąg dalszy ze str. 6)

tak jakoś, jak by mnie pierwszy raz widział, podchodzi, głasze mnie po głowie i mówi nagle groźnie:

— Gdzieś ty tam włożył smar-kaczu zatracony? Co?

I nic więcej. A zawsze od tego zaczyna się dłuższe kazanie. Patrzę mu w oczy. Wyjmuje szybko zamiast chustki ogromną szmatę od narzędzi i odwraca się, żeby utrzeć nos. Bardzo długo to robi. Mama stoi przy piecu i przerażona patrzy na mnie. Dlaczego tatuś nie pociągnie mnie za ucho, nie zwy-myśla?

I tatuś zaczyna krzyżeć, choć ma cały nos usmarowany oliwą z tej szmaty. Ale nie na mnie, na mamę, że nie pilnuje smar-kacza, który zaplała się jeszcze w diabli wiedzą jaką historię. Ze zdumienia zamieniam się w gapę: mama się uśmiecha i to nie do tatusiowego naoliwione-go nosa, bo patrzy się na mnie. A tatuś krzyżeć coraz głośniej i na mamę, i na mnie, coraz szybciej biegnie po sypialni i stuką się w głowę, co ma znaczyć, że ma samych wariatów w domu. Staszek wsadził głowę w drzwi, a palec do gęby i aż kręci głowę ze zdumienia a potem wycofuje się po cichu i słychać tylko tupot nóg, co ma oznaczać, że on, mając cztery lata nie chce mieć nic wspólnego ze sprawami, które mogą się skończyć pasem. Nagle tatuś chwytą mnie w pól, przyciska do siebie mocno i ucieka z sypialni, trzaskając drzwiami. Nic nie rozumiem. Rozcieram policzki, bo tatuś nie golił się już chyba dwa dni z powodu tego kolektora.

Następnego dnia o świcie komendant wydał rozkaz zastrze-lenia Izaaka za to, że jest Żydem. Miał to zrobić ten sam, który go męczył pod słupem. Kazał Izaakowi wykopać dół na żydowskim cmentarzu, ustawił go nad grobem i zostawiwszy wartownika poszedł powiedzieć komendantowi, żeby sobie sam wykańczał starych Żydów, on i tak już z pięćdziesięciu zastrze-lił. Komendant pobiegł na cmentarz i zastrzelił Izaaka. A chudy, który miał też na sumieniu i Polaków, odszedł na front za niewykonanie rozkazu.

Izaaka pogrzebano bez butów. Paradował w nich długo głupi Jasiek, który go zasypywał. A Izaak poszedł stanąć przed swoim Jehową bez butów, bosy, tak jak za życia zawsze chodził po ziemi.

NA NASZYM EKRANIE

Orson Welles

Na ekranach rzeszowskich kin wyświetlany jest aktualnie film „Falstaff” (według wątków sztuk Szekspira), którego reżyserem i odtwórcą głównej roli jest Orson Welles, jedna z najciekawszych postaci współczesnego kina, klasyka światowej kinematografii.

Urodził się 6 maja 1915 roku w Kenosha w stanie Wisconsin (USA). Od dzieciństwa przepadał za literaturą piękną i... filozoficzną, żywo interesował się sztuką. W wieku 10 lat poszedł do szkoły teatralnej, jako 16-letni chłopak był już wykwalifikowanym aktorem, debiutującym na scenie rolą... staruszka — księcia Wittembergię w sztuce L. Feuchtwangera „Żyd Suss”. Mając 19 lat jest już znanym aktorem, po sukcesach w teatralnych spektaklach „Romeo i Julia” oraz „Kandyda”, a także reżyserem samodzielnie wysta-

wiającym w teatrach irlandzkich i amerykańskich.

Pełen nowych pomysłów, ciągle poszukujący, szokuje publiczność i krytykę. Reżyseruje „Fausta” wg. Marlowe’a, „Makbeta” (w murzyńskiej obsadzie!), współczesnego „Juliusza Cezara” (Cezar upozorowany był na Mussoliniego) oraz zakazaną przez amerykańską cenzurę operetkę „Kołyska się kołysze”, zawierająca ostrą satyrę na stosunki społeczne w USA. W 1938 roku realizuje słynną audycję radiową o najeździe Marsjan na Stany Zjednoczone, która wywołała popłoch w całym kraju i ucieczkę ludzi z wielu miast.

W roku 1940 debiutuje w filmie jako reżyser i odtwórca głównej roli w „Obywatelu Kane”. Film ukazujący sylwetkę jednego z tzw. mocnych ludzi Ameryki najpierw nie mógł się dostać na ekran, na skutek sprzeciwu

dziennikarzy z koncernu Hearsta (w tytułowej postaci filmu dopatrzili się swojego pryncypała), a później odniósł niebывалы sukces. „Obywatel Kane” wszedł na stałe do czołówki klasycznych filmów kinematografii światowej, całe pokolenie młodych twórców uczyły się na nim sztuki filmowej.

Po tak udanym debiucie Welles coraz więcej uwagi poświęca X Muzie. Jego następne filmy to: „Wspaniali Ambersonowie”, „Podróż do kresu strachu”, „Intruz”, „Dama z Szanghaju”, „Obywatel Kane” i „Makbet”.

Podobnie jak Chaplin, ma Welles swoje kłopoty z Ameryką. Zaczęły się one jeszcze w okresie jego sukcesów teatralnych, pogłębiły podczas pracy w filmie, kiedy wytwórci i koła reakcji amerykańskiej przeszkadzały mu jak mogły w przeprowadzaniu artystycznych i ideowych zamysłów. Toteż w roku 1948 Welles przeniósł się do Europy, tutaj w roku 1951 powstaje jego „Otello”, ekranizacja znanego dramatu Szekspira, która pochłonęła wszystkie zasoby pieniężne reżysera. Film jeszcze raz uodowodniał talent Wellesa, był wyrazem jego wysokich ambicji. Na festiwalu w Cannes w 1952 roku „Otello” uzyskał

ex aequo z włoskim filmem „Nadziei za dwa grosze” główną nagrodę.

Dla zebrania funduszu na własne filmy Welles występuje jako aktor w obrazach innych reżyserów, wystawia sztuki teatralne, występuje w telewizji. W roku 1956 powraca do USA i tu reżyseruje na scenie (grając zarazem główną rolę) „Króla Lira”. W pracy nad tym spektaklem nie przeszkodziło mu nawet złamanie jednej i zwichnięcie drugiej nogi — grał, jeżdżąc po scenie w fotelu „ucharakteryzowanym” na tron królewski. W roku 1962 realizuje film według „Procesu” Kafki, a w roku 1966 wraca znów do Szekspira, przenosząc na ekran wątki trzech jego sztuk w oryginalnej pomysłowej wersji „Falstaffa”.

Jest to chyba najlepsza z szekspirowskich adaptacji dokonanych przez Orsona Wellesa, który jest tu znakomity, jako reżyser i jako aktor. Jest to chyba w ogóle jedno z największych osiągnięć w dziedzinie ekranizacji filmowej. Dlatego czytelnikom, którzy nie widzieli jeszcze tego filmu, radzimy — mimo upałów — odwiedzić kino, by zobaczyć interesujące filmowe dzieło i wybitnego twórcę. Taka okazja może nie przędko się znów nadarzyć. (sz)



Orson Welles jako Falstaff.